

Śmierć biegła

po schodach: jatki we Wrocławiu
str. 5

Wyznania legionisty

znad Wisły

str. 8, 9

Sokole oko

Renaty Mauer

str. 11

Polak - Apacz

dwa bratanki

str. 16

Szkoła tańca

szkoła manier

str. 14, 15

Piątek, 17 stycznia 1997 r. Nr 14 (15870) Rok LIII ISSN 0137/9062 indeks 350028

Nakład 176 000 egz.

**Codziennie
nowa
szansa**

DZIENNIK BAŁTYCKI
magazyn

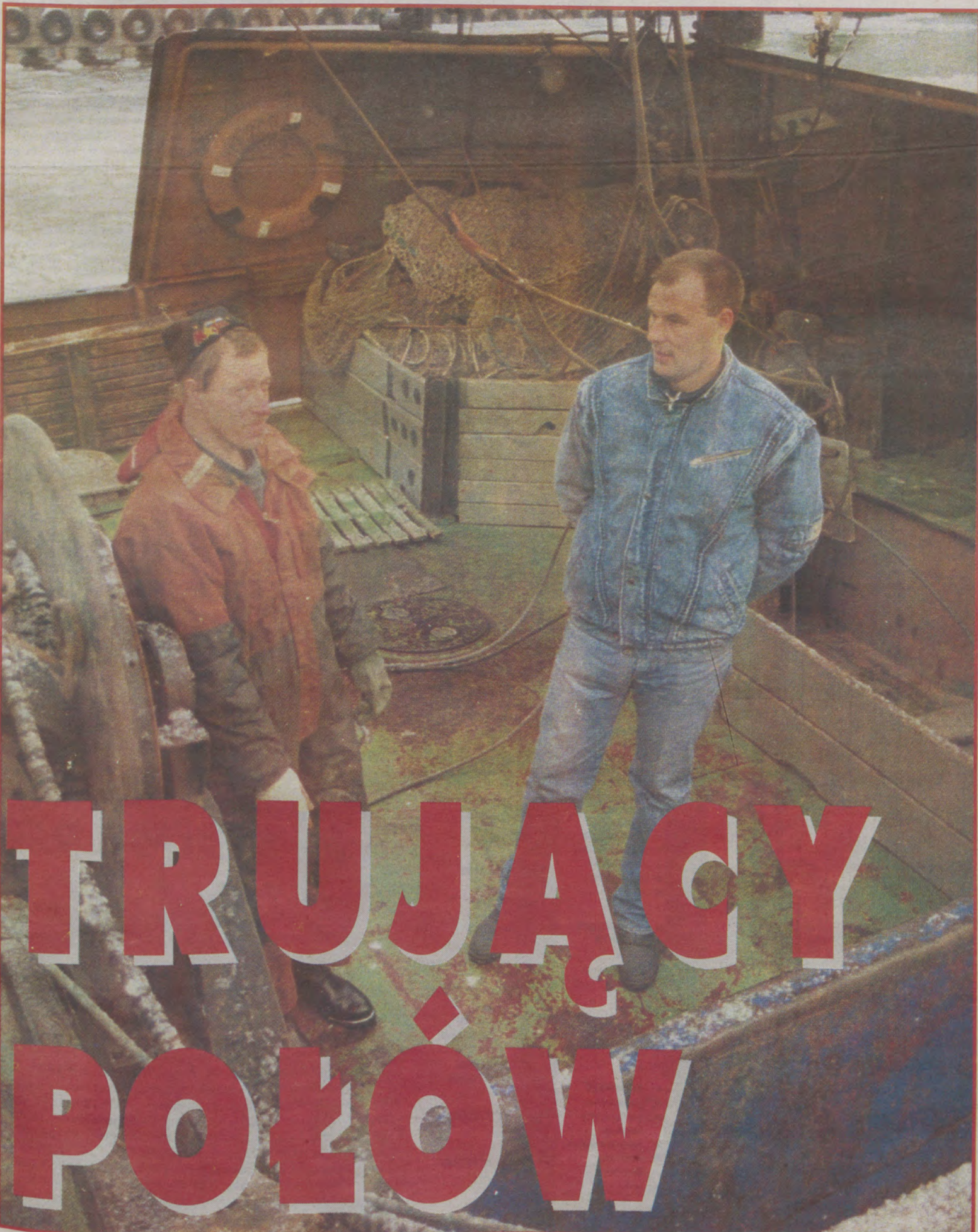
Rejsy

1 70 246

**Twój dzisiejszy
nowy numer**

Porównaj go **JUTRO**
ze Złotym Numerem
na stronie 3
„Dziennika Bałtyckiego”

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Biblioteka Główna
80-806 Gdańsk, Targ Rokowy 5/8
tel. 31-48-11, 14



TRUJĄCY POŁÓW



szczegóły na stronie 3 „Dziennika Bałtyckiego”

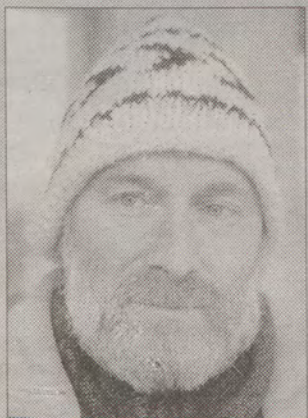
- 1 ZACHOWAJ DZISIEJSZY** egzemplarz „Rejsów” **DO JUTRA.**
- 2 JUTRO** w „Dzienniku Bałtyckim” na stronie 3 podany będzie wylosowany **ZŁOTY NUMER. PORÓWNAJ** z nim TWÓJ DZISIEJSZY NUMER ze strony 1 „Rejsów”.
- 3 JEŚLI** numery będą takie same otrzymasz 5000 zł.
- 4 CODZIENNIE** każda gazeta daje Tobie nową szansę.
- 5 CODZIENNIE** kupuj gazetę – zwiększysz swoją szansę.

szczegóły strona 3
„Dziennika Bałtyckiego”

**PAMIĘTAJ!
ZŁOTY NUMER
ZAWSZE
NA STRONIE 3**

o tym
się mówi

Czy masz zaufanie do policji?



Jerzy Langer, działacz „Solidarności” z Gdańska.

Fot. Maciej Kostun

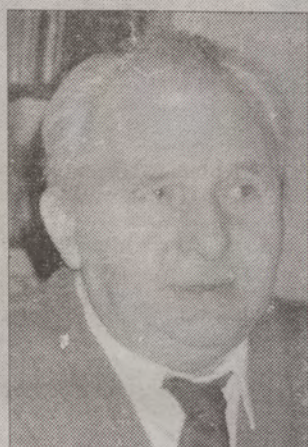
- Myślę, że nie. Mam własne zdanie na ten temat. Uważam, że w policji, niestety, zbyt dużo pozostało ludzi z poprzedniej ekipy, mających w służbie własne interesy. Policja w znacznej części nadal jest skorumpowana. I chociaż stopniowo - i to dobrze - odzyskuje autorytet, to jednak jej działania wciąż pozostawiają wiele do życzenia.



Jadwiga Kowalczyk, handlowiec z Gdańska.

Fot. Barbara Madajczyk-Krasowska

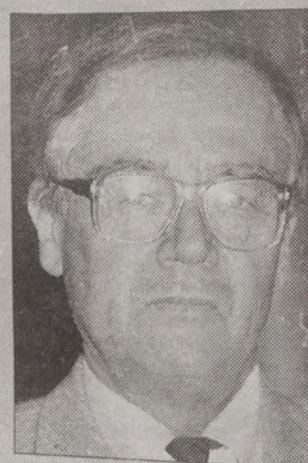
- Mam zaufanie. Życzę im, żeby lepiej zarabiali i aby było ich więcej na ulicach, na których przeważnie widać tylko funkcjonariuszy Straży Miejskiej, którzy patrzą jedynie komu wypisać mandat. Ostatnie wydarzenia, jak na przykład w Łomazach nie zmieniły mojej opinii o policji. Takie sprawy nie powinny mieć miejsca, ale niestety zdarzają się w każdym środowisku.



Feliks Sikora, emerytowany nauczyciel z Łuzina.

Fot. Aleksandra Zdrojewska

- Raczej mam. Miałem wielu znajomych policjantów. Żyłem z nimi w zgodzie i nigdy nie miałem kłopotów z policją. Ta opinia dotyczy oczywiście policjantów z Łuzina. Nie znam innych środowisk policyjnych. Uważam, że w zdecydowanej większości policjanci są uczciwi, a skrajności zdarzają się w każdym zawodzie.



Jerzy Umiastowski, lekarz z Sopotu.

Fot. Maciej Kostun

- Marzę, żebym je miał, ale jak dotąd mam zaufanie tylko do niektórych policjantów. Do tych, którzy są gorliwi, życzliwi i uczciwie służą społeczeństwu. Są jednak policjanci niepokojąco obojętni. Osobiście jestem wdzięczny policjantom, którzy po tygodniu znaleźli i zwrócili mój ukradziony samochód.

magazyn Rejsy

17 stycznia 1997



Fot. Maciej Kostun

Trujący połów:
dorsz w iperycie
- str. 12-13

Zapraszamy na łamy

Spokojnego, dobrodusznego Warrena Christophera zastąpiła „bestia polityczna”. „Mam nadzieję, że moje wysokie obcasy wślizgną się do pana butów” - powiedziała mu nie bez złośliwości Madeleine Albright, pierwsza kobieta, która stanęła na czele dyplomacji amerykańskiej. Piszemy o niej na str. 10.

Daleka jestem od feministycznych uniesień i nonsensowych sporów kto lepszy - kobieta czy mężczyzna, bo wiem, że wartością obojga jest człowieczeństwo. Cieszy mnie jednak, gdy czytam, że kobiety robią kariery, zdobywają medale, zajmują fotele niegdyś zastrzeżone tylko dla panów. Bez fałszywej skromności powiedzmy sobie i IM - drogie panie - że na sukces potrafimy zapracować. Fili-granowa Renata Mauer, mistrzyni strzelecka, wzór opanowania o stalowych nerwach, zostaje Sportowcem Roku, co eksponujemy na stronie 11. Elżbieta Sikora, kompozytorka polska robiąca karierę w świecie, tworzy oratorium na milenium Gdańska (patrz wywiad na stronie 4). Miód leje się na duszę.

Trochę gorzej w dzisiejszym numerze wypadają panowie: czy którakolwiek z nas puściła by się na awanturę podobną do tej z Legią Cudzoziemską, z której Rafał powrócił na tarczy? Czyż przezorność nie powstrzymałaby damskiej ręki przed wyłuskaniem z sieci podejrzanego ładunku, jak to uczynili nasi rybacy. Jesteśmy bardziej przyziemne, praktyczne, przewidujące. To dobrze. Jednak być może właśnie dlatego żadna z nas nie zostanie Indianką, jak Bartek, gdańszczanin z plemienia Czarnych Stóp.

Ech, porzućmy rozważania. Jest karnawał, polecamy więc też lekturę artykułów o sztuce tańca i niegdyśszych manierach. Przyda się paniom i panom!

Rita Krzyżaniak



Rys. Henryk Sówka

Rejsy

Redagują: Rita Krzyżaniak, Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik).

Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM.

Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz,

Jerzy Samp, Janina Wieczerska.

Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

Nasze Rozmowy

Odpowiada mi ta sentencja mówiąca o przemijaniu, o tym, że jest pora na wszystko - żeby się urodzić, pokochać, znienawidzić, coś zbudować, by przeminęło, wreszcie - umrzeć.

Z Elżbietą Sikorą,
kompozytorką z Paryża,
rozmawia Katarzyna Korczak



Fot. Robert Kwiatek

Oratorium na milenium

- Podczas ostatniej wizyty w Gdańsku, gdy wraz z Paulem Méfano prowadziła pani w gdańskiej Akademii Muzycznej kurs współczesnej muzyki kameralnej dla młodych kompozytorów i wykonawców, mówiła pani, iż po powrocie do Paryża będzie intensywnie pracować nad utworem na milenium Gdańska.

- Utwór ten zaczęłam pisać dwa lata temu. Jest prawie gotowy, choć ma jeszcze białe plamy. Teraz - mówiąc językiem malarskim - dokładam do niego kolorów. Czas mnie goni, za dwa miesiące partytura musi być skończona, bo pójdzie do wydawcy, który ją będzie musiał opracować. Nie rozstaję się z nią - zabieram do samochodu, pociągu, samolotu, jest teraz ze mną w Gdańsku. Tak będzie dopóki nie otrzymam pierwszej kopii. Bo gdyby coś się z tym stało, moja praca poszłaby na marne.

- Prawykonanie utworu zaplanowane jest na 20 czerwca w Katedrze w Oliwie i zainauguruje XL Międzynarodowy Festiwal Organowy w Oliwie. Jaki charakter będzie miała ta kompozycja, z jakich inspiracji się zrodziła?

- Tekstu do utworu szukałam dość długo. Chciałam, aby dotyczył on Gdańska i jednocześnie zawierał pewne uogólnienia. Podczas któregoś pobytu u rodziców w naszym domu w Oliwie, natrafiłam na artykuł pt. „Na tropach antyku w Gdańsku”, który w latach sześćdziesiątych moja mama, z zawodu filolog klasyczny, Zofia Sikora, napisała do „Liter”. Był tam zacytowany fragment tekstu z Biblii wyrzuty na jednym z dzwonów Ratusza

Głównego Miasta: „Omnia tempus habet et suis spatiis transeunt universa sub coelo”. Bardzo odpowiadała mi ta sentencja mówiąca o przemijaniu, o tym, że jest pora na wszystko - żeby się urodzić, pokochać, znienawidzić, coś zbudować, by przeminęło, wreszcie - umrzeć. To jest utwór na tysiąclecie, więc związany bezpośrednio z czasem. Ten tekst stał się początkiem kompozycji.

Utwór mieć będzie charakter oratoryjny z prowadzącym głosem solowym i dopowiadającym chórem. Głos solowy ma zupełnie inny tekst pochodzący z dalszych części Biblii i jest komentarzem, filozoficzną przypowieścią o działalności człowieka. Natomiast chór stale wraca do motywu przemijania.

- Kto będzie wykonywał utwór?

- Śpiewać będzie Jadwiga Rappe, Schola Cantorum Gedanensis w rozszerzonym składzie, przy organach zasiądzie Henre Desarbres, zagra Orkiestra Państwowej Filharmonii Bałtyckiej, a całość poprowadzi Wojciech Michniewski. Przyjadą tu na dłużej, by uczestniczyć w próbach. Będę musiała też popracować nad rozlokowaniem wykonawców w świątyni, by całość dobrze brzmiała.

- Jakie są losy pani opery „Wyrwacz serc” do tekstu Borisa Viana, której głósza prapremiera odbyła się w czasie trwania Warszawskiej Jesieni w 1995 roku, na małej scenie Teatru Narodowego w Warszawie?

- Właśnie prowadzone są rozmowy na temat wystawienia tego przedstawienia we francuskiej wersji językowej

w czerwcu w Centre Pompidou. Będzie to francusko-polska koprodukcja. Reżyser, scenograf oraz kilku solistów przyjadą z Polski, z Francji - będzie zespół instrumentalny Zesm, dyrygent Paul Méfano, statysci i czworo solistów.

W kwietniu „Wyrwacz” będzie wznowiony na scenie Teatru Narodowego w Warszawie - w wersji polskojęzycznej i rzadziej - francuskiej.

- Nad czym pani obecnie pracuje?

- Sypnął się na mnie prawdziwy deszcz zamówień. Piszę właśnie utwór na orkiestrę dla francuskiej Orchestre Piou - Charente w Poitiers, którego prawykonanie odbędzie się w maju. Otrzymałam zamówienie na kwartet smyczkowy na festiwal kobiet kompozytorek w Heidelbergu. Dostałam też, wraz z kilkoma innymi kompozytorami, takie zabawne zamówienie na napisanie współczesnej piosenki kabaretowej do programu w Opéra Péniche w Paryżu, której dyrektorem jest Mireille Laroche.

Zamówiono u mnie także kameralny utwór poświęcony pamięci alianatów, którzy zginęli podczas desantu w Normandii.

- Czy znalazła pani czas, aby nacieszyć się rodziną i rodzinnymi stronami?

- Zawsze chętnie przyjeżdżam na Wybrzeże. Chwile spędzone w moim domu z rodzicami bardzo sobie cenię. Przywiązana jestem do Gdańska. W katedrze w Oliwie, mimo silnego mrozu, ręce mi wprost martwiały, przegrywałam partyturę swojego milennego utworu.

Udało mi się pojechać z przyjaciółmi na Kaszuby. Podziwialiśmy w słońcu zachwycające, fantastyczne pejzaże. Bajkowy świat zaledwie czterdzieści kilometrów od Gdańska! Prawie zapomniałam, że coś takiego istnieje. Nie mogłam odmówić też sobie wyjazdu nad otwarte morze. Na brzegu w lodzie widziałam utkwiony kuter z siecią wypełnioną zamrożonymi rybami. Pewnie ludzie, uciekając przed sztormem, nie zdążyli już ich wyciągnąć. Uwikał się też w sieci i - biedak, zamarł - czarny ptak z czerwonym dziobem. Ten widok wywarł na mnie niesamowite wrażenie.

- Nie będzie pani obecna na pierwszym koncercie z cyklu „Muzyka kompozytorów gdańskich” w Państwowej Filharmonii Bałtyckiej, na którym zabrzmi również pani muzyka?

- Niestety, muszę wracać, czekają na mnie w Paryżu liczne obowiązki. Cieszę się, że moją symfonię pt. „Cienie”, która wykonywana była w 1990 roku na Warszawskiej Jesieni, usłyszą teraz gdańszczanie obok utworów Władysława Walentynowicza, Krzysztofa Olczaka, Kazimierza Guzowskiego i Zbigniewa Pniewskiego. Dzięki temu koncertowi jakby z powrotem staję się gdańszczanką. Mam nadzieję, że orkiestra nie będzie przestraszona moim utworem, że publiczności się spodoba. Orkiestrę poprowadzi bardzo zdolny młody fancuski dyrygent, Jean Thorel, który jest zachwycony perspektywą wystąpienia w Gdańsku.

Elżbieta Sikora urodziła się w 1943 roku we Lwowie. Po wojnie wraz z rodzicami i rodzeństwem przeniosła się do Oliwy. W Gdańsku uczyła się w podstawowej i średniej szkole muzycznej w klasie fortepianu. Ukończyła Studia na Wydziale Reżyserii Muzycznej w Państwowej Szkole Muzycznej w Warszawie. W latach 1968 - 1970 studiowała muzykę elektroakustyczną w Paryżu w Groupe de Recherches Musicales. Po powrocie do Warszawy odbyła w tamtejszej uczelni studia kompozytorskie u Tadeusza Bairda i Zbigniewa Rudzińskiego. Od 1981 roku mieszka we Francji. Obecnie jest profesorem Konserwatorium w Angoulême, gdzie prowadzi zajęcia z dziedziny muzyki elektroakustycznej. Zdobyła m. in. II nagrodę za operę kameralną „Ariadna” na Konkursie im. Webera w Dreźnie (1978), I nagrodę za „Guernikę” na konkursie dla kompozytorów w Mannheim (1982). Jej utwory były wykonywane w większości krajów Europy i Stanach Zjednoczonych, w Polsce - na „Warszawskiej Jesieni”.

W niedzielę wieczorem we Wrocławiu, 25-letni Marokańczyk w ataku szału zabił dwie osoby i zranił pięć, w tym trzy ciężko.

- Około dwudziestej usłyszeliśmy na korytarzu krzyki naszego sąsiada, Krzysztofa B. i jakieś kobiety - opowiada mieszkaniec dziesiątego piętra bloku przy placu Grunwaldzkim we Wrocławiu. - Pan Krzysztof biegł po korytarzu i prosił, żeby wezwać pogotowie, potem zaryglował się w swoim mieszkaniu. Na korytarzu wszędzie było pełno krwi.

Na dziesiątym piętrze mieszka od dwóch lat marokańskie małżeństwo Lajla K. i Mohamed E. Lubiani przez sąsiadów, nigdy nie sprawiali żadnych kłopotów. W niedzielę wieczorem odwiedził ich kolega, Rashid D. - również Marokańczyk. Ponieważ zaczął się Ramadan, wspólnie przystąpili do modlitw. Nie wiadomo, co się stało podczas modłów.

Jedna z plotek mówi, że mężczyźni pokłócili się ze sobą o Lajlę. W czasie awantury, Rashid rzekomo w ataku złości ugodził nożem sprężynowym w brzuch i klatkę piersiową Mohameda E. i zaczął uciekać. Na korytarzu natknął się na mieszkającego na tym samym piętrze 63-letniego Krzysztofa B., który zaniepokojony krzykami chciał interweniować. Rashid uderzył nożem starszego mężczyznę. Mimo że Krzysztofa B. usiłował reanimować jego syn, mężczyzna zmarł po kilku minutach.

Trzy piętra niżej Marokańczyk natknął się na dozorcę bloku i jego żonę. Ponownie zaatakował. Zraniona kobieta zaczęła uciekać, uderzony w plecy dozorca dotarł do najbliższych drzwi.

- Dozorca zapukał do naszych drzwi, był błydy, ledwie mówił. Zdążył powiedzieć, że coś się stało na dziesiątym piętrze - opowiada Tomasz Sysło, jeden z mieszkańców bloku. - Ten Rashid jest bardzo mały, miał jednak ogromny nóż i działał przeciwieństwo w szale. Na siódmym piętrze wsiadł do windy i zjechał na sam dół.

- Kto wie, może wypił albo brał jakieś narkotyki - dodaje sąsiad Marokańczyków. - Przecież normalnie nikt by czegoś takiego nie zrobił. To były jatki. Wszędzie pełno krwi.

Uciekający Rashid atakował wszystkie osoby, które spotkał na swojej drodze. Uderzał na oślep. Już pod blokiem ranił nożem spacerującą z psem 17-letnią Agnieszkę O. Dziewczyna zmarła na stole operacyjnym z upływu krwi. Rany były tak głębokie, że lekarze nie byli jej w stanie pomóc.

Policja przybyła na miejsce wypadku w ciągu dziesięciu minut. Pod blokiem pojawiło się również pięć zespołów reanimacyjnych i pięć karetek. Oprócz zabitego Krzysztofa, do szpitala zabrano razem z Agnieszką osiem osób.



Transport zwłok Krzysztofa B., jednej ze śmiertelnych ofiar szaleńca.

Fot. PAP/CAF-Wojciech Wilczyński

Nożem na oślep



Zakrwawiony ręcznik - ślad zbrodni na parterze wieżowca.

Fot. PAP/CAF-Wojciech Wilczyński

Rashid nie reagował ani na strzały ostrzegawcze, ani na apel, aby poddał się policji. Usiłował skryć się na pobliskich ulicach. Około pięciuset metrów od bloku został postrzelony w udo i klatkę piersiową. W ciężkim stanie odwieziono go do szpitala. Jego pokój pilnowany przez policjantów, znajduje się naprzeciwko sal, w których leżą zranieni przez niego dozorca i inne ofiary. Trzy osoby są w bardzo ciężkim stanie.

Tomasz Fedyk, rzecznik prasowy Prokuratury Wojewódzkiej nie zna jeszcze motywów zbrodni, nie wiadomo co spowodowało u Rashida D. atak szału. Sprawa wyjaśni się prawdopodobnie po przesłuchaniu Lajli. Ustalono jedynie, że 23-letni Marokańczyk, student II roku Politechniki Wrocławskiej nie był pod wpływem alkoholu.

- Wszyscy jesteśmy w szoku - mówią mieszkańcy bloku przy placu Grunwaldzkim. - To zupełnie jak w Ameryce. Człowiek nie może być pewien nawet w swoim domu. Po drugie, teraz ludzie dwa razy się zastanowią, zanim zareagują na jakąś awanturę. Można to przecież przypłacić życiem, tak jak pan Krzysztof.

Pod drzwiami zabitego mężczyzny ktoś postawił zapalony zniczek.

Jerzy Maślak

Pierwsze przesłuchania

Rashid D., który w niedzielę wieczorem we Wrocławiu zabił dwie osoby, a pięć innych poważnie ranił składaną finką, powiedział 14 bm. podczas przesłuchania, że nie wie czemu zabijał i skąd miał przy sobie nóż. Prokuratura zarzuciła mu dwukrotne zabójstwo i pięciokrotne usiłowanie zabójstwa - powiedział na wtorkowej konferencji prasowej prokurator Tomasz Fedyk, rzecznik prasowy Prokuratury Wojewódzkiej. Rashid D., który był przesłuchiwany w szpitalu powiedział, że niczego nie pamięta z tragicznego wieczoru. Nie pamięta ani kolacji, na którą był zaproszony, ani Koranu, który odmawiał z marokańskim małżeństwem, ani późniejszych wydarzeń. „Nigdy nie noszę przy sobie noża i nie wiem skąd i dlaczego miałem nóż tamtego wieczoru” - mówił Rashid D. Zabójca dodał jeszcze, że nie był pod wpływem alkoholu ani żadnymi innymi środkami odurzającymi, gdyż jego religia nie pozwala na to. „Zabójca był bardzo zdziwiony, gdy dowiedział się od prokuratora do jakiej jatki doprowadził” - powiedział Fedyk.

Oprócz Rashida D. prokuratora przesłuchała we wtorek Lajla K., która jednak nie potrafiła wyjaśnić z jakiego powodu doszło do awantury. „Zjedliśmy kolację. Po posiłku w czasie modlitwy, Rashid D. wyciągnął nóż i ranił nim mojego męża Abdelhamida E.” - mówiła Lajla K. Zdementowała też pogłoski jakoby powodem kłótni była ona czy jakaś inna kobieta.

Następnymi, którzy zostaną przesłuchani przez prokuraturę będą: dozorczyzna Janina B., jej mąż Stanisław K. oraz Marian F. Obecnie jednak ich stan zdrowia nie pozwala na przesłuchanie. „Cała trójka odniosła bardzo poważne obrażenia, które mogły zagrażać ich życiu. Na ich szczęście udzielono im szybkiej pomocy medycznej” - dodał Fedyk. Prokuratura liczy, że zeznania Abdelhamida E. wyjaśnią motyw działania Rashida D. „Obecnie Abdelhamid E. znajduje się w szpitalu i jest w bardzo poważnym stanie, ale jego życiu nic nie zagraża” - powiedział Fedyk.

(PAP)

Secesja Rokity to akurat małe piwo.
Chyba że się na nią spojrzysz jako na
symptom rozkładu.
Tak pojęta - jest ważna.

Robotnicy godziny jedenastej

Pomysły humanisty

Godzinę przed dwunastą grupa postów UW z Rokitą na czele przesiadła się z unięgo „Titaniczka” na atrakcyjniejszy w tej chwili frachtowiec Krzaklewskiego, AWS. Przesiadka to przemyślana, bo tuż przed wyborami, czyli za pięć dwunastą, mogłoby być ciut za późno. A tak przesiadkowicze mogą, jak ewangeliczni „robotnicy godziny jedenastej”, liczyć na tę samą zapłatę, co pracujący w winnicy pańskiej od rana.

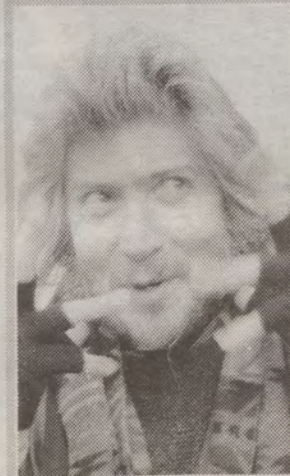
Mogą się wszakże i przeliczyć. Lider AWS nie może, jak pan winnicy u św. Mateusza powiedzieć szemrzącym: „Czyż nie mam mocy, by robić, co chcę?” Z szemraniami swojej załogi musi się liczyć. Akces secesjonistów przyjął tedy powściągliwie. Przypowieść o robotnikach w winnicy wydaje się dobrym kluczem do wyjaśnienia sposobu myślenia unitów (także w czasach, gdy nazywali się UD). Do ruchu wolnych związków zawodowych dołączyli w Sierpniu, niektórzy zaś stali się solidarnościowcami dopiero po okrągłym stole, albo i po powstaniu rządu Mazowieckiego. Trudzenie się „od świtu” nie jest więc dla unitów warunkiem koniecznym do zajęcia miejsca w pierwszym szeregu. Zasada ta prowadzi do niebezpiecznego lekceważenia zaszłości, a także - ludzkiej pamięci.

Sam Rokita pod tym względem jest zresztą nieodrodnym dzieckiem Unii. Albo sam zapomniał, albo myśli, że ludzie zapomnieli jak to on właśnie, jako podpowiadacz i reprezentant Suchockiej nadogryzał swą arogancją „Solidarności”. I to tak, że z irytacji straciła rozsądek i obaliła ów rząd, otwierając drogę do władzy, „lewej nodze” głaskanej przez Wałęsę. Będziemy jednak sprawiedliwi - Wałęsa za te pieszczoty srodze zapłacił, Unii zaś się wydaje, że jej nikt rachunku za przemądrzaństwo, zaniedbania i zaniechania płacić nie każe: Skąd ta przedziwna głuchota na pomruki ruchów tektonicznych, powierzchniowych w społeczeństwie? Jedną z przyczyn jest oczywiście to, że władza przytłumia wzrok i słuch, w ogóle oślepia. Ale ta powszechna przypadłość w środowisku unitów pełni się szczególnie bujnie, ponieważ w większości są oni „robotnikami godziny jedenastej” także dosłownie. Nigdy nie trudzili się od świtu (a jeśli nawet, to tak dawno, że sami zapomnieli), do pracy w instytucie, redakcji, kancelarii itp. jeździli luźnym tramwajem po rannym szczycie. Do kolejek posyłali żony, poza tym intelektualiści to trochę abnegaci, ich wymagania minimalne to mieć na książki, kawę i taksówkę, maksymalne: willa, samochód i wakacje nad Adriatykiem.

Nie doceniają zatem, z jednej strony, wściekłości człowieka, którego nie stać na tornister dla dziecka, z drugiej zaś - niepomahowanej, bezwzględnej pazerności na pieniądze facetów, dla których pierwszy miliard to dopiero marny początek. Przeceniają: gesty, słowa, intrygi, układy towarzyskie. Te rzeczy są ważne w życiu naukowym i literackim, ale demokracja, wolny rynek, a już zwłaszcza „kapitalizm polityczny” na nic nie zważają.

Prezes Unii, Balcerowicz, miałby dużo powodów do zmartwienia, ale secesja Rokity to akurat małe piwo. Chyba że się na nią spojrzysz jako na symptom rozkładu. Tak pojęta - jest ważna.

Janina Wiczerska



Per Oscar Gustav Dahlberg urodził się w Szwecji, wśród tajemniczych lasów i jezior. Tam kształtowała się jego artystyczna wrażliwość. Jest absolwentem college'u w Cambridge. W Londyńskiej Akademii Królewskiej uzyskał tytuł doktora filozofii.

Jego prace są m.in. prezentowane w muzeach w Londynie i w Irlandii oraz w wielu galeriach i prywatnych zbiorach. Zachwyt muzyką Chopina przywiódł Pera do Polski. Głęboki hołd naszemu narodowemu kompozytorowi artysta wyraził w swych pracach malarskich oraz w filmie animowanym pt. „Romanza”.

Zbliżenia

Per Oscar

- Jest pan znanym malarzem w Szwecji, a zdecydował się osiąść w Sopocie. Co takiego magnetycznego jest w starym kurorcie, gdzie się wszyscy znają?

- Sama pani powiedziała „stary kurort”. Sopot ma swój własny styl. Nie szukam dziwów, ale też nie lubię uporządkowania stąd dotąd. Tu są stare drzewa, drewniane ogrodzenia, na podwórkach drewniane drzwi komórek, lśniące w deszczu. Przybysze z odległych krajów - Turcji, Afryki - odnajdują tu niezwykłość i mówią: to miejsce jest piękne. Razem je kochamy.

W Sopocie odkrywam coraz to nowe uroki. Stare hydranty zmienacka przypominają mi Nowy Jork, mały odcinek ulicy Kazimierza Wielkiego, z domami z czerwonej cegły, to przeniesiony fragment pewnej dzielnicy Londynu... Lubię patrzeć na dzieci w Sopocie, w lecie tak

szczęśliwe, z ciastkami w rękach. I uwielbiam celebrowanie etykiety: przedstawianie się, dzieńtemenów całujących damy w rękę. Ludzie mają tu styl, manieri.

- Pana rysunki Sopotu, tworzone na poczekaniu, na oczach urzeczonych przechodniów, są wierne, a jednocześnie mają własny, magiczny charakter i klimat. Jak pan widzi Sopot? Czy nie poprzez niesamowitą literaturę Poe'go, Hoffmana, niemiecki film ekspresjonistyczny?

- Tak, poprzez literaturę. Właśnie Hoffmana, Poe'go. Poe jest zresztą moim ulubionym pisarzem. Zrobiłem własne filmy według jego opowiadań.

W Sopocie trwa jeszcze świat starej epoki. Jest tu połączona elegancja z czadem subkulturowych działań. Graffiti na murach, malowane przecież przez młodzież, mówią: „E.A.Poe”, „Poezja”. To unikatowe - Poe

na sopockim murze! Mam zdjęcia tych napisów i włączę je do mojego albumu rysunków Sopotu, opowiadającego o mieście.

Wszystko się łączy w tym starym kurorcie. Chciałbym, poprzez rysunki, przekazać to cudzoziemcom. Po prostu patrzę, rysuję to, co odczuwam. Kocham sprzeczne reakcje przechodniów, kiedy rysuję Sopot. A reagują oni bardzo silnie, wręcz gwałtownie. Mała dziewczynka klaszcze w ręce i podskakując woła „To piękne, piękne”. Starszy pan z dwoma psami na smyczy staje jak wryty, patrzy na mnie z grymasem i zaczyna wrzeszczeć: „Co to jest? Co pan tu rysuje? To wstrętne! To nie Sopot!” A psy zaczynają mu wtórować, na swój sposób.

Przy tym Sopot ma specyficzny zapach. Kocham ten zapach. Polska ma w ogóle niezwykły urok. Sopot jest dla mnie na



Gustav Dahlberg



przecięciu tych czarujących miejsc w Polsce. Ja lubię urok...

- Właśnie. Ale jaki impuls - lub może głęboka przyczyna - pchnął pana do Polski?

- Wszystko zaczęło się na paryskim cmentarzu Per Lachaise, dokąd poszedłem, aby odwiedzić grób francuskiego kompozytora Lalo. Byłem tam w rocznicę śmierci Chopina i zobaczyłem na jego grobie białe i czerwone goździki. Poczułem w tym momencie Polskę i muzykę Chopina. Tamto przeżycie stanowiło inspirację do nakręcenia dwudziestominutowego filmu „Romanza”, który później zrobiłem. Przyjechałem do Polski: w „Romanzy” idziemy ścieżkami, którymi wędrował Chopin. Ten autorski film pokazywany był w Paryżu w sali Pleyela, razem z wystawą obrazów poświęconych Chopinowi.

Ale tak właściwie, to w moim przyjeździe do Polski nie ma niczego dziwnego, niczego nieoczekiwanego. Byłem wiele lat w Anglii. Wszyscy moi przyjaciele byli Polakami. Zapraszałem Polaków. Jadłem polskie jedzenie. Ilustrowałem książki kucharskie z polskimi potrawami, jak bigos. Uwielbiam polską muzykę - Pendereckiego, Panufnika, Góreckiego. I to było zupełnie naturalne, że przyjechałem tutaj. Polska mnie przyciągała - i wciągała - od dawna. Czytałem Mrożka... Nie robiłem żadnych planów. To było naturalne i tajemnicze jednocześnie.

Przyjechałem do Warszawy w 1985 r. Pokochałem wszystko:

oszałem dla Łazienek, byłem urzeczony tramwajami. Ale przede wszystkim kocham Polskę dla jej wolności. Chopin jest jej uosobieniem.

- Wykracza pan w swojej twórczości poza tradycyjny warsztat sztuki. Pokazy w Londynie to było rzucanie w szary tłum ulicy projekcji obrazów filmowych. Uważa pan, że artysta powinien być czarodziejem, który zmieni zwykłe życie?

- Przedstawiłem publiczności moje filmy - animacja i rysunki - wg najgenialniejszych opowiadań Edgara Poe. Ona struchlała - a to miało być tylko miłe...

Jestem tradycyjny w moim pojmowaniu sztuki. Chcę inspirować publiczność, ale nie poprzez skandal. Czy artysta powinien być czarodziejem? To zagadka. Jeżeli uprawiasz sztukę wizualną, to jest to twój środek komunikacji. Wiele osób uważa, że Pavarotti jest magnetyczną osobowością. Ale osobowość twórcy często pozostaje w cieniu dzieła.

- Myślę jednak, że wiele osób, nawet podświadomie, uważa że artysta ma obowiązek być dziwny, inny od nich.

- To nie obowiązek, absolutnie nie. Sądzę jednak, że wokół wielu twórców kreujących coś, powstaje atmosfera dziwności. Ale wszak image artysty jest sprawą bardzo trudną i złożoną.

Rozmawiała: Ewa Moskalówna

Zdjęcia: Robert Kwiatek



Rys. Per Oscar Gustav Dahlberg

Nadmiernie chyba uczulony Chrzan, dmuchając na zimne, proponuje objąć procedurą lustracyjną kilka mało znaczących zawodów...

Prześwietlić pissuardessy!

Chwyty dozwolone

Zanim małpa człekokształtna dopadła wieśniaczki z plemienia Baluba i przekazała ludzkości wirus HIV wiadomą drogą zakażenia - chodząc czasem do fryzjera - golibrody. Gdy rozparty w fotelu poddawałem się procedurze mydlenia i skrobania brzytwą, mistrzynio umiejętnie brała mnie na spytaki. Rozpoznawszy szóstym zmysłem we mnie dziennikarza, wymuszał wypowiedzi, jaki naprawdę mają pogląd na rządy Gierka inni klienci z Domu Prasy: redaktor Włodzio, czy Zbychu. Nim się ugryzłem w język, lekkomyślnie wypaplałem to i owo, gdy psikał wodą kolońską, albo przypudrowywał krostki. Cyrułik giął się w ukłonach, gdy z wielkopańskim gestem rezygnowałem z reszty, przywoływał chłoptysia, by strzepnął z kornierza łupież, ale po moim wyjściu, zacierając z satysfakcją lepkie rączki, pewno smażył donosik. Gdy na fotelu rozsiadł się z kolei oficer SB, WOP, czy kontrwywiadu - ów prowokator wciskał mu karteczkę: „Jan Chrzan, mówiąc o Iksie, stwierdził, że...”. Niecny proceder, jak sądzę, kwitł też w damskich salonach fryzjerskich, a panie są z natury mniej szczelne i łatwiej tam było o przeciek.

Rzadko jeździłem gablotą, ale gdy czasem złapałem taksówkę na rondzie wokół Króla Jana III, pod Domem Prasy, kierowca po złamaniu chorągiewki licznika, obserwując moją mimikę w lusterku wstecznym, wdawał się w polityczny dyskurs. - Jak pan uważa, czy te sk... syny długo jeszcze nami będą rządzić? Patrz pan, co się wyrabia choćby z taką benzyną! Cóż miałem począć, skoro w kindersztubie wpojono mi ongiś wzorową grzeczność dla niani Bisi i kucharci Marysi, dla pana Juliana - ogrodnika i Władzia, faworytnego szofera mego Ojczulka? Zbycie tej kwestii niczym przeczyłoby moim obyczajom. - To zależy - cedziłem w nadziei, że dojedziemy zanim coś znów wypaplam - jak rząd i partię oceniać... Są i tacy, którym się nieźle wiedzie, a zady i walety, sorry, wady i zalety ekipy należy osądzić dopiero z perspektywy dekady... Zakładałem, że po kursie taksiarz zjeżdżał na pobocze, wystawiał tekturkę ZJAZD DO GARAŻU (a były takie dla odstraszenia namolnych klientów - J.Ch.), po czym z meldunkiem o nastrojach wśród żurnalistów pruł pod wiadomy numer przy ulicy Okopowej.

Niekiedy też po koleżeńskej libacji w redakcji zachodziłem do publicznego przybytku. Zdarzało się, gdy płaciłem z góry, że pissuardessa zagadała niby to z nudów: - Słyszał pan, że się cosik w stoczni dzieje? Strajk zamysławia chłopcy robić, czy co? Miał przybrać minę nr 7 i zamilczeć - o zgrozo, potwierdzałem tę hipotezę! Baba niecnota, gdy załatwiłem interes, albo przekazywała uniwersalną klamkę - wytrych swej zmiennicze i biegła na ubecę z meldunkiem ustnym, albo alternatywnie wywieszała tabliczkę NIECZYNNE - SPIS Z NATURY, by w pocie niewysokiego czoła donieść o sygnałach z kręgu przemysłu okrętowego.

Wspominam o tym, by nie pominięto przypadkiem wymienionych profesji w przygotowywanym projekcie ustawy.

Jan Chrzan

Ludzie kupowali wiele rzeczy, aby zmniejszyć sobie podatek dochodowy.

Ale przecież kupując te wszystkie „pomoce” płacili VAT

210 złotych

Rejsy po gospodarce

W ramach usprawnień regulacji podatkowych zweryfikowano listę tzw. pomocy naukowych, których zakup można będzie w bieżącym roku odliczyć od dochodu podlegającego opodatkowaniu. Zadanie to wykonało Ministerstwo Edukacji Narodowej, co zazwyczaj nie obiecuje nic sensownego.

Poprzednia lista budziła rzeczywiście sporo zastrzeżeń. Prawdopodobnie jakiś urzędnik z resortu finansów poszedł po linii najmniejszego oporu i uznał za owe „pomoce” całe grupy z klasyfikacji statystycznej towarów. W ten sposób na liście wśród „przysług optycznych” znalazły się sławne, acz zwykłe okulary. A w ramach urządzeń elektronicznych zwykłe radia, wieże hi-fi, telewizory, magnetowidy itp. Teraz to wszystko wykreślono - i bardzo słusznie.

Autorzy nowej propozycji podkreślają z dumą, iż pozostawiono teraz tylko takie przedmioty, które naprawdę są wykorzystywane do nauki lub ściśle związane z wykonywaniem czynności zawodowych. Będzie więc nadal można odpisać od podatku kwoty wydane na zakup komputerów i oprzyrządowania, profesjonalnego sprzętu fotograficznego, profesjonalnych kamer wideo, profesjonalnych mikroskopów itd. Przymiotnik „profesjonalny” podkreślany był przez przedstawiciela MEN kilkakrotnie w trakcie jej krótkiego wystąpienia w telewizji. I wszystko byłoby cacy, gdyby... trzymało się kupy.

Ile kosztuje komputer, taki klasy średnio-niższej? Ano - minimum 2000 zł. Profesjonalny aparat fotograficzny? Jeszcze więcej. Profesjonalna kamera wideo? Sporo więcej. A ile wynosi tegoroczna ulga związana z zakupami takich urządzeń? 210 (dwieście dziesięć) złotych. Niby poziom wydatków na omawiane tu cele został zwiększony do 1110 zł, ale podatek będzie można zmniejszyć z tego tytułu maksimum o owe 210. Wątpię, czy będzie to stanowiło bodziec do wydawania pieniędzy na taki sprzęt. Ministerstwo Finansów sądzi zapewne, że jak komuś potrzebny jest komputer do pracy, to i tak go kupi. Może tak, a może nie. A przecież jest to inwestowanie we własny wydatek pracy. Często zastępowanie biednego budżetu, bo np. szkoły nie kupią nauczycielom drogiego sprzętu, który mogliby oni wykorzystywać w domu, po to by pogłębiać swoją wiedzę, uczyć się nowych metod kształcenia dzieci. Ale czy ktoś myśli w tych kategoriach?

Jaki sens ma utrzymywanie ulgi, która nie starcza praktycznie na zakup niczego? Kolejna gra pozorów. Fikcja.

A czy zachęcanie w nie najbogatszym przecież społeczeństwie obywateli, by inwestowali w wiedzę, w poznawanie najnowocześniejszych technologii, w przyszłość po prostu - czy to jest sensowne?

Można patrzeć na ten problem oczami krótkowzrocznego fiskusa. Można nie dostrzegać jego związku z cywilizacyjnymi aspiracjami społeczeństwa. To wszystko można. Ale czy można być na tyle nierozgarniętym, by nie zdawać sobie sprawy, iż takie posunięcie oznacza spadek wpływu do budżetu z podatku VAT? Ludzie kupowali wiele rzeczy, aby zmniejszyć sobie podatek dochodowy. Ale przecież kupując te wszystkie „pomoce” płacili też VAT. Teraz wielu z nich z tego zrezygnuje. Stracą wszyscy. Ktoś zyska?

Piotr Dominiak

Legia Cudzoziemska: maszeruj albo giń!

Formacja prawdziwych twardzieli

W Legii nauczyłem się, że liczy się zespół, a nie jednostka. Pojedynczego żołnierza można zostawić krokodylom na pożarcie, ale zespół musi wykonać zadanie. Nauczyłem się jeszcze, że dyscyplina jest ponad wszystkim. Bez tej dyscypliny, wspomaganej pewnymi niepisanymi prawami, Legii by nie było.

Strażnik w bramce wejściowej pyta o broń, środki łączności, urządzenia do nagrywania. Długo ogląda legitymację prasową. Interwencja prokuratora wojskowego, z którym idę na przesłuchanie, sprawia, że nie muszę oddawać dyktafonu do depozytu. Później jeszcze dwie bramy, kolejny strażnik i wreszcie siadamy przy stoliku widzeń, czekając na podejrzanego. Cały czas towarzyszy nam adwokat Rafała. To był warunek, że zatrzymani będzie chciał rozmawiać.

Mamy czas. Prokurator-majork wprowadza mnie w sprawę.

W 1990 roku w jednej z wybrzeżowych gazet pojawiło się ogłoszenie o naborze ludzi do francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Sprawę natychmiast zajął się UOP, ale gazeta już poszła w Polskę. Ogłoszenie trafiło do Wałbrzycha. Tam, w jednej z dyskotek, przekazywane było z rąk do rąk. Zjawił się ktoś, kto był w Legii. Snuto opowieści o przygodzie, pieniądzu. Chętnych było sporo.

Sprawą ponownie zajął się UOP. Do prokuratury wojskowej we Wrocławiu wpłynęły ustalenia agentów - podano nazwiska. Rozpoczęło się śledztwo, a właściwie kilka. Przesłuchano znajomych i rodziny tych, którzy wyjechali służyć w obcym wojsku. Za sześcioma młodymi ludźmi rozesłano listy gończe.

W kwietniu minionego roku policjanci zatrzymali w rodzinnym domu jednego z legionistów. Doprowadzony do prokuratury, złożył obszerne zezna-

nia. Prokurator nie zastosował wobec niego aresztu. Przed sądem miał odpowiadać z wolnej stopy. Po kilku dniach od przesłuchania nie było go już w kraju. Rafał miał mniej szczęścia, niż jego kolega. Gdy - zatrzymany przy próbie przekroczenia granicy - został doprowadzony do prokuratury, zastosowano wobec niego areszt śledczy.

Z artykułu 237

Otwierają się drzwi. Strażnik wprowadza do celi młodego dwudziestokilkuletniego człowieka. Rafał ma krótko ścięte włosy, krępa budowę ciała. Na pierwszy rzut oka widać w nim twardziela. Jak powie później, nie może pogodzić się z tym, że siedzi w celi z kryminalistami.

Tam w celi wielu „garusom” zamieszkał w głowach. Przecież oni kodeks karny opanowali często lepiej niż grypsery i nagle zjawia się jakiś artykuł 237. Nikt nie wie, co to jest. I gdyby nie przeciek od jakiegoś uczynnego „klawisza”, nikt by się w tej odsiadce Rafała nie potapał.

Najpierw odbywa się rozmowa klienta z mecenasem. Później prokurator przystępuje do przesłuchania. Gdy przedstawia mnie Rafałowi, ten z góry wyklucza możliwość rozmowy z prasą. Otrzymuję jednak zgodę na obecność przy przesłuchaniu.

Siedzę i słucham. Rafał, pouczonego przez adwokata, zeznaje chętnie. Opowiada o swojej drodze do Francji, o pobycie na farmie, o swojej unitarce w Legii i służbie w regimencie w Gu-



Każdy legionista przechodzi miesięczny okres próbny, cała unitarka trwa zaś cztery miesiące.

Fot. Robert Kwiatk

czas szkolenia w dżungli, zdobył - jak się wyraził - doświadczenie większe niż Tony Halik.

Naukę przerwał w drugiej klasie Technikum Górniczego. Nie widział sensu dalszej nauki, skoro w Wałbrzychu kopalnie zamykają, a po szkole nie ma żadnej perspektywy znalezienia pracy. W domu nie było wesoło. Ojciec alkoholik potrafił skutecznie zatruć życie całej rodziny. Brakowało pieniędzy. Miał wszystkiego dosyć.

Był sprawny fizycznie. Prawie profesjonalnie trenował boks. Ćwiczył także wschodnie sztuki walki. Był młody, silny, twardy. 22 lipca 1991 roku postanowił wyruszyć w świat w poszukiwaniu pieniędzy i przygody. Mając 500 franków w kieszeni, wyjechał do Francji. Z Paryża trafił na południe - do Marsylii.

Gdy skończyły się pieniądze, imał się różnych zajęć. Często sypiał na ławkach. W tym okresie trafił do baru pana Złotki, gdzie zbierają się Polacy, służący w Legii Cudzoziemskiej.

Tam powiedzieli mu: - Idź do Legii, po dwóch tygodniach zawsze możesz zrezygnować, ale przynajmniej nie będziesz chodził głodny i dostaniesz parę groszy. Poszedł.

Żołnierz nie ma myśleć ma być silny

- Pierwsze dni poświęcone były na rozmowy i gruntowne badania lekarskie - wspomina Rafał. - Później tych, którzy przeszli selekcję, wywieziono na tzw. farmę. Tam każdy legionista przechodzi miesięczny okres próbny. Cała unitarka natomiast trwa cztery miesiące.

Na farmie każdy dostaje maksymalnie w kość. To tak celowo, aby pozostali sami najtwardsi. Pobudkę mieliśmy o szóstej. O godzinie 6.15 był apel. Następnie o siódmej śniadanie, a później dopiero sport, czyli tzw. zaprawa poranna. Śniadania nikt nie jadł. Kto zjadł, to i tak po dziesięciu kilometrach musiał je zwrócić.

Na tej farmie uczyliśmy się posługiwać bronią, musztry, języka francuskiego. O godzinie 12 był obiad, a o osiemnastej kolacja, oczywiście obowiązkowa. Tam nie ma, że ktoś nie chce jeść. Jeżeli załabnie, to znaczy, że czegoś nie dopełnił. Szkolenie prowadzą podoficerowie w sekcjach, które są odpowiednikami naszych plutonów. W sekcji są trzy grupy po dziesięć osób.

Największy nacisk kładziono na sport. Tam od myślenia jest kadra, a zwykły żołnierz nie ma myśleć, ale być silny. Ja byłem dobrze wysportowany, a więc nie miałem zbyt dużych problemów. Jeżeli chodzi o tzw. docieranie, to jest to normalne. Śpi się często po 4-5 godzin w nocy i nikt na nikogo nie idzie skarżyć. Jeżeli dowódca drużyny da mi w gębę, bo krzywo na niego spojrzałem, to też nie mogę zrobić. Zresztą w jakim języku bym to opowiedział? Tam uczą tylko podstawowych 400 słów. Są to zwroty wojskowe, regulaminowe, nazwy sprzętu i akcesoriów. Reszty każdy, jak ma czas i chce, musi się nauczyć sam.

Było wielu takich, którzy nie wytrzymywali, próbowali uciekać. Ale gdzie mieli uciekać, skoro do najbliższego miasta jest 30 km? Ubrani w mundury, głowy ogolone...

Po miesiącu takiego piekła odbywa się marszobieg po górach. Kto to wytrzyma, może założyć białe kepi - czapkę legionisty. Dalsze szkolenie, typowo wojskowe, odbywa się w koszarach i jest już spokojniejsze - mniej chamstwa, bicia w pysk. Co ciekawe, przez cały czas służby wojskowej nigdy nie spotkałem oficera, czy podoficera z brzuszkiem. Tam autentycznie dowódca świeci przykładem. Dowódca musi być sprawniejszy od swoich podwładnych.

Po czterech miesiącach zakończyłem szkolenie. Trafiłem do 3 korpusu piechoty. Wkrótce załadowano nas do samolotu i po 12 godzinach wylądowaliśmy w tropiku, w Gujanie Francuskiej.

Przez dżunglę marsz!

W Gujanie mieszczą się wyrzutnie oraz ośrodek doświadczalny związany z komunikacją satelitarną. Z tego miejsca wystrzeliwane są w przestrzeń kosmiczną francuskie rakiety Ariane. Zadaniem korpusu Legii Cudzoziemskiej jest przede wszystkim ochrona bazy i pracujących tam ludzi. Ale jest jeszcze jeden powód stacjonowania tam legionistów. Gujana, leżąca w tropiku, porośnięta jest dżunglą. Stanowi doskonałe miejsce do szkolenia oddziałów w takim klimacie.

Głównie pełniliśmy służbę wartowniczą. Były jednak okresy, kiedy przechodziliśmy intensywne szkolenie. W środku dżungli była specjalnie przygotowana baza szkoleniowa. Tam uczyliśmy się bytowania, przepraw przez rzeki. Dostawialiśmy nieźle w kość. Kiedyś na zajęciach z przetrwania konsumowaliśmy mięso krokodyla, węża i jeszcze innych zwierząt. Wtedy kilku oficerów zastrzeliło małpę, aby zrobić sobie ucztę. Po czasie okazało się, że była ona czymś zarażona. Dwóch oficerów zmarło.

Najtrudniejsze były marsze przez dżunglę. Ciągłe trzeba było patrzeć pod nogi, aby nie nadeprnąć jakiegos gą. Kiedy

zatrzymaliśmy się na noc, nim poszło się spać, trzeba było sporo popracować. Musieliśmy oczyszczać do gołej ziemi całą powierzchnię, nad którą mieliśmy spać. Chodziło o to, aby wartownik mógł zobaczyć w nocy każdego gada. Później nad tak przygotowaną ziemią rozwieszało się specjalną plan-dekę, aby nic nie spadło na człowieka z drzewa. Następnie trzeba było zawiesić moskitierę i wyciąć dwie długie tyczki. Na te tyczki, wbite w ziemię, po ułożeniu się w hamaku, nakładało się buty.

Najdłuższy marsz? Najdłuższy mój marsz przez dżunglę trwał miesiąc. Podczas tego marszu można było sprawdzić swoją wytrzymałość. Hasło Legii to: maszeruj albo giń. Iść musiał każdy. Wycinając drogę w buszu, robiliśmy około 6-10 km dziennie. Kiedy kolegę ukąsił skorpion, dostał zastrzyk i mimo gorączki 40 stopni szedł dalej. Oczywiście, mieliśmy radiostację, mogliśmy wezwać z bazy pomoc medyczną ze śmigłowcem, ale, aby śmigłowiec wylądował w dżungli po ranne-go, musielibyśmy przez dwa dni wycinać teren, przygotowywać lądowisko.

W Legii nauczyłem się, że li-czy się zespół, a nie jednostka. Pojedynczego żołnierza można

zostawić krokodylom na pożarcie, ale zespół musi wykonać zadanie. Nauczyłem się jeszcze, że w Legii dyscyplina jest ponad wszystkim. Tam wszystko się robi na rozkaz. Bez tej dyscypliny, wspomaganą pewnymi nie pisanymi prawami, Legii by nie było.

Wycisnęli mnie jak cytrynę

Kiedyś na torze przeszkód skoczyłem z wysokiej ściany na twardy grunt. Zerwałem sobie ścięgno w prawej nodze. Trafiłem do szpitala. Miałem szczęście, że operację robił mi lekarz zajmujący się w bazie naukowcami. Zabieg zrobił dobrze, bo mogę zginać nogę, ale jestem kaleką. Noga nie jest w pełni sprawna. Mam w niej kilka gwoździ.

W Legii, gdy człowiek przestaje być sprawny fizycznie, idzie w odставку. Mnie też zaczęto odstawiać. Wycisnęli mnie jak cytrynę i kopnęli w tyłek. Mogłem zostać jakimś kelnerem, kucharzem albo cały czas sprzątać koszary. Nie chciałem. Wróciłem do Francji. Przez dwa tygodnie robili mi gruntowne badania. Oczywiście, zapomnieli mi wypłacić odszkodowanie. Dostałem natomiast zarobione franki i kilka

dni urlopu. Wtedy powiedziałem sobie: dosyć, trzeba przyskać.

Z wyrokiem w papierach

Rafał pojechał do Lyonu do polskiego konsulatu. Powiedział, że zgubił paszport. Wydano mu dokument i mógł już wracać do kraju. Ale nie wrócił. Miał pieniądze, chciał zwiedzić świat. Na dwa tygodnie wyjechał do Tajlandii. - Tajki to wspaniałe dziewczyny - uśmiecha się tajemniczo.

Po dwóch tygodniach z Tajlandii wrócił do Francji, potem do Polski. Na granicy nikt nie robił mu przeszkód. A był przecież poszukiwany listem gończym. Wjeżdżał i wyjeżdżał z kraju jeszcze kilkakrotnie. Dopiero w maju ubiegłego roku wyprowadzono go z pociągu i trafił do aresztu.

Rozprawa sądowa go nie ominie. Jaki otrzyma wyrok, zadecyduje sąd. Jedno jest jednak pewne już teraz. Rafał został kaleką, pieniądze się rozeszły i pozostaną tylko zabazgrane wyrokiem papiery. I „szlaban” na Francję. Każdy bowiem uciekinier z Legii Cudzoziemskiej ścigany jest przez francuskie prawo.

Bogusław Politowski

Bez znieczulenia, bez taryfy ulgowej, po imieniu i nazwisku. To nie są taktyczne umizgi i okraszanie bliskich nieszczerością.

Zamieszanie na salonach

Życie i liryka

Nieżyty numer wykreślił pięć lat po swojej śmierci Stefan Kisielewski, czyli Kisiel, przypominając się swoimi „Dziennikami” pisanymi między 1968 a 1980 rokiem. Myślałem, że to jakaś lipa z jego zapiskami, a tutaj raptem ukazuje się blisko tysiącstronicowe tomiszcze i nie jest to żadna mistyfikacja, ale czysty Kisiel.

Pisanie tzw. dziennika - wiem to dobrze - to jest jednak kwestia systematyczności, chęci lub konieczności. Jest to pisanie na marginesie innych zajęć, przeznaczone do szuflady, a nie z myślą o publikacji. A jeżeli już ktoś za życia myśli o opublikowaniu po śmierci, to wyznacza termin tak odległy, że szansę na przeczytanie ma dopiero pokolenie wnuków. To jest często rodzaj pisania „zamiast”.

„Dzienniki” Kisielewskiego powstały z owego „zamiast”. Dąty pisanie mówią same za siebie. On chociaż w ten sposób chciał odreagować to, co widzi, słyszy, przeżywa, skoro w sposób otwarty nie mógł niczego publikować. Bo Kisiel to było „zwierzę polityczne”, choć polityka nie była jedynym polem jego działania - były przecież jeszcze muzyka i pisanie nie najlepszych powieści (z wiadomych względów pod pseudonimem). To był także człowiek bardzo towarzyski. Taki ktoś nie potrafi milczeć. Musi chociaż sam dla siebie zapisywać mijające dni, polityczną głupotę, kawiarniane plotki, absurdalność socjalizmu albo tylko opisywać krajobraz. W dodatku pisane jest to bez znieczulenia, bez taryfy ulgowej, po imieniu i nazwisku. To nie są taktyczne umizgi i okraszanie bliskich nieszczerością. Pisał jak myślał i czuł, był osobny i nie bez powodu jeden z cykliów swoich felietonów zatytułował „Wolanie na puszczy”.

Do Kisielewskiego felietonisty dochodziłem długo, a kiedy w nim zasmakowałem, przestał pisać. Na szczęście mam dwa opasłe tomy jego felietonów, które stoją na półce jak relikwie. Dzisiaj brakuje jego felietonów, chciałoby się na to, co się dzieje, popatrzeć przez jego okulary. Choć nie wiem, jak dzisiaj zatytułowałby swoje felietony? I czy byłby to głos słyszalny tak jak kiedyś? Czy nie utonąłby w tłumie krzyków i pismaków? Myślę, że jednak poradziłby sobie i znalazł jakiś sposób. Przynajmniej żeby być czytany.

Bo my lubimy jak nas się poucza, nawet potrafimy znieść wytykanie nam błędów - przyzwyczailiśmy się do tego. Natomiast my bardzo nie lubimy wyciągać z tego żadnych wniosków. Ta nasza narodowa specjalność dawała niekiedy dobre efekty, ale na dłuższą metę, zaś w chwili, gdy „jesteśmy we własnym domu” (kto pamięta to hasło?), zaczyna być paskudnie. Proszę zajrzeć do pierwszej lepszej gazety. Kisiel miałby dzisiaj ze swoim temperamentem pełne ręce roboty.

„Dziennikami” narobił sporo zamieszania na salonach, choć na pewno mu o to nie chodziło. Czasami salonowa kanapa (choć leży pod nią bomba w postaci „Dzienników” Kisielewskiego) zatrzęsie się z oburzenia albo ze śmiechu, bo na pewno nie ze wstydu, i życie potoczy się dalej. Tak było jak Stefan Kisielewski żył i tak jest, gdy już go nie ma. Pozostawił jednak ważny zapis naszej historii, wcale nie osobistej, a przede wszystkim nie pisanej z pozycji zwycięzców, bo ci piszą tylko nieprawdziwą historię.

Aleksander Jurewicz



Białe kepi - czapka legionisty.

Fot. PAP/CAF

Madeleine Albright dyryguje amerykańską dyplomacją

Prawdziwa bestia polityczna

Siedziała w domu, wychowując dzieci i wstając codziennie o pół do piętej, aby pisać pracę doktorską z dziedziny spraw międzynarodowych. Później, mając pieniądze, elegancki dom i odchowane dzieci, pani Albright stała się figurą w kołach politycznych Partii Demokratycznej.

Spokojnego, dobrodusznego Warrena Christophera zastąpiła „bestia polityczna”. Mam nadzieję, że moje wysokie obcasy wślizgną się do pana butów - powiedziała mu nie bez złośliwości. Madeleine Albright, pierwsza kobieta, która stanęła na czele dyplomacji amerykańskiej, znana jest ze swych szczerych wypowiedzi. Jest specjalistką od krótkich, ale morderczych zdań, które śmiało rzuca przy różnych okazjach.

- Nie jestem zbyt inteligentna ale ciężko pracuję

Madeleine jest zbyt dobrze poinformowana, aby nie wiedziała jakim to złośliwym przydomkiem obdarzyli ją jej wrogowie w kłótniach ONZ: „Madeleine Halfbright” („półinteligentna”). Desygnowana przez Billa Clintona na szefa dyplomacji amerykańskiej, pani ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ odpowiada na to w swoim zwykłym, suchym i bezpośrednim stylu: - Nie jestem zbyt inteligentna, ale ciężko pracuję.

To prawda, że ta niska, tęgawa, 59-letnia kobieta, często występująca w jaskrawo czerwonym kostiumie, nie szczędziła trudu, by dotrzeć na najwyższe stanowisko w Departamencie Stanu, dotychczas zarezerwowane tylko dla mężczyzn.

Bill Clinton zapewnia, że wybrał panią Madeleine Albright z powodu jej zalet, a nie dlatego że jest kobietą. Ale prezydent nie zapomina, że kobiety w znacznej mierze przyczyniły się do jego reelekcji. A ponadto Hillary Clinton prowadziła energiczną kampanię na rzecz swojej przyjaciółki.

Niebanalna biografia

Droga życiowa Madeleine Albright zaczęła się daleko stąd - w Pradze, gdzie przyszła na świat w 1937 roku jako Maria Jana Korbel. Jej ojciec, dyplomata Josef Korbel, został bliskim współpracownikiem emigracyjnego rządu czeskiego

w Londynie w czasie okupacji Czech przez Hitlera. Z tych czasów pani Albright pamięta jak chowała się pod żelaznym stołem podczas bombardowań. Po wojnie, Josef Korbel został ambasadorem Czechosłowacji w Belgradzie i zaangażował dla córki guwernantkę, gdyż nie chciał, aby chodziła do szkoły z dziećmi komunistów. Gdy komuniści przejęli władzę w Czechosłowacji w 1948 roku, rodzina Korbelów zbiegła do Colorado, gdzie ojciec Madeleine został dziekanem wydziału spraw międzynarodowych na uniwersytecie w Denver.

Podobnie jak jej przyjaciółka Hillary Clinton, Madeleine studiowała w Wellesley College, elitarnym college'u żeńskim na wschodnim wybrzeżu.

Poślubiła swoją sympatię z uczelni, Josepha Medilla Pattersona Albrighta z bogatej rodziny wydawców i dziennikarzy. Siedziała w domu, wychowując dzieci i wstając codziennie o pół do piętej, aby pisać pracę doktorską z dziedziny spraw międzynarodowych. Po jej skończeniu, zajęła się polityką w Partii Demokratycznej. W 1972 roku doradzała Edmundowi Muskie, a w 1976 roku, jej dawny profesor z Columbii, Zbigniew Brzezinski, wciągnął ją do Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Gdy Carter odszedł z urzędu w 1980 roku, pani Albright została bez pracy. A ponieważ nieszczęście lubią chodzić w parze, w 1982 roku małżonek oświadczył jej brutalnie, że koniec z małżeństwem. - To był szok - powiedziała w 1991 roku w wywiadzie dla „The Washington Post”. Nie wyszła powtórnie za mąż.

Doradczyni

Mając pieniądze, elegancki dom i odchowane dzieci, pani Albright stała się figurą w kołach politycznych Partii Demokratycznej. Doradzała Walterowi Mondale. Za czasów Reagana i Busha, podobnie jak większość establishmentu Partii Demokratycznej, powróciła do pracy naukowej. Została profesorem w Georgetown University School of Foreign Relations

i przewodniczącą prodemokratycznego Ośrodka Polityki Narodowej. Obiady w jej domu w Georgetown słynęły nie tyle z dobrego jedzenia, co ze znakomitego grona gości, zasiadających do stołu.

Dotychczas nie nadarzyła się okazja, aby dobrze poznać Billa Clintona. Oboje nigdy nie rozmawiali ze sobą aż do wiosny 1992 roku, kiedy Mark Gearan, obecnie dyrektor Korpusu Pokoju, poznał ich ze sobą na rocznym obiedzie Stowarzyszenia Demokratycznych Gubernatorów. Spotkanie wypadło dobrze. Pani Albright została uznana za nadającą się do rzędu, który - jak przysięgił sobie Clinton - „podobny byłby do Ameryki”.

Pani ambasador

Na porządku obrad ONZ figurowały wszystkie najbardziej zapalne punkty ostatnich czterech lat. Madeleine Albright zdecydowanie lubiła być panią ambasador. Swoją apartament w hotelu Waldorf-Astoria udekorowała rodzinnymi fotografiami i obrazami współczesnych malarzy amerykańskich. Ale nigdy nie zaniedbywała swej waszyngtońskiej sylwetki. Zawsze uczęszczała na zebrania głównych doradców Clintona do spraw polityki zagranicznej.

W jej aktach dominowała sprawa Bośni. Na początku pokłóciła się z ówczesnym szefem połączonych sztabów Colinem Powelllem, który nie chciał użyć siły w byłej Jugosławii. - Po co mieć wielką armię, o której pan ciągle mówi, jeśli nie możemy jej użyć? - zapytała Powella. Jej opinia przeważała. Również twarda była w sprawie Haiti. Na posiedzeniu w Białym Domu w 1993 roku przeformowała decyzję w sprawie inwazji. - Proszę dać mi mandat na rezolucję ONZ, zezwalającą na ataki, a ja tam pojadę i zrobię to. Tak właśnie się stało.

Ale nie zawsze odnosiła sukcesy. To ona inspirowała haniebną rezolucję ONZ, która przekształciła operację pomocy dla Somalii w małą wojnę kolonialną. Również jej wysiłki w celu usunięcia Butrosa Gha-



Bill Clinton zapewnia, że wybrał panią Madeleine Albright z powodu jej zalet, a nie dlatego, że jest kobietą.

Fot. PAP/CAF

lego były uważane za niezręczne. Początkowo oboje zgadzali się ze sobą i nawet często razem jadalili obiad. Kiedy jednak Clinton zdecydował, że nie chce Ghalego, pani Albright obróciła się przeciwko Egipcjaninowi i prowadziła kampanię przeciwko niemu.

Lubi prasę i trochę luzu

Zdaniem krytyków, pani Albright nie jest strategicznym myślicielem. Istotnie, jej prace

nie mają takiego oddziaływania, jak to, co np. napisał Henry Kissinger. Będzie ona bardziej podobna do Cyrusa Vance'a lub Warrena Christophera, którzy zdobywali sobie reputację jako negocjatorzy. Natomiast jej osobisty styl będzie zdecydowanie różny. Christopher zawsze unikał mediów. Pani Albright, która w college'u pracowała w gazecie uczelnianej i miała męża dziennikarza, lubi prasę. I nie bę-

dzie starała się ukrywać swojej odrobiny frywolności. Współpracownicy przewidują więcej wędrowek po sklepach podczas wizyt zagranicznych. Dziennikarka Sally Quinn wspomina wieczór w ambasadzie czeskiej, kiedy pani Albright i inne wpływowe panie z ożywieniem rozmawiały o swoich sukniach.

Małgorzata Wasilewska

Renata Mauer ma nerwy silne, jak postronki, lecz w pierwszą sobotę nowego 1997 roku traciła już cierpliwość. - Mogli chociaż słówko szepnąć - mówiła rozgorączkowana podczas obiadu. - To pani jeszcze nic nie wie? - dziwili się kelnerzy w restauracji warszawskiego hotelu Victoria. - Przecież ten Fiat Brava, który stoi w holu, należy już do pani.

Strzał w dziesiątkę

To przypadek sprawił, że rozpoczęła sportową karierę. Drobną dziewczynka z podstawówki nawet nie wiedziała o istnieniu strzelectwa. Sportem wcale się nie interesowała i niczym nie wyróżniała się z licznej, ośmioosobowej czere- dy dzieciaków Mauerów.

Nieoczekiwane dobry wynik

Uczyła się nieźle, więc widziała swoją przyszłość w roli konserwatora zabytków. Z tym zamiarem wyruszyła z rodzinnego Nasielska do Warszawy. Traf chciał, że w zespole szkół budowlanych była sekcja strzelecka. Dwa razy w roku wszyscy uczniowie, w ramach przysposobienia obronnego, wędrowali na strzelnicę, gdzie mierzyli do tarcz. Wyniki, jakie osiągnęła Renata, były niezwykle zachęcające. Natychmiast skierowano ją do klubu, gdzie trener Piotr Kosmatko rozpoczął szkolenie od nauki strzeleckich podstaw.

- Wtedy bardzo dużo trenowałam - wspomina Renata. - Nieraz, po kilku godzinach wytężania wzroku, czułam, jakbym miała piasek w oczach. Ale ponieważ osiągałam sukcesy, nigdy się nie zniechęcałam.

Po skończeniu szkoły średniej nie miała gdzie się zatrzymać w Warszawie. Przyjęła więc ofertę wojskowego klubu z Wrocławia. Śląsk proponował maleńkie mieszkanko i świetne warunki do treningów. Dostała do ręki karabin markowej firmy niemieckiej Feinwerkbau.

Druga i pierwsza

Renata Mauer, mistrzyni olimpijska w strzelaniu, ma nerwy silne, jak postronki, lecz 4

stycznia, w pierwszą sobotę nowego 1997 roku traciła już cierpliwość. - Mogli chociaż słówko szepnąć - mówiła rozgorączkowana podczas obiadu. - To pani jeszcze nic nie wie? - dziwili się kelnerzy w restauracji warszawskiego hotelu Victoria. - Przecież ten Fiat Brava, który stoi w holu należy już do pani.

Kilka dni wcześniej też wróżyła jej, że pojedzie do telewizji po wspaniałą nagrodę - Hondę. Telewizja publiczna po raz pierwszy przeprowadziła plebiscyt na najpopularniejszego sportowca Polski w 1996 roku. W powszechnej opinii Renata Mauer, która na igrzyskach olimpijskich w Atlancie zdobyła aż dwa medale (złoty i brązowy), była murowaną faworytką do zwycięstwa. Lecz podczas finałowej gali okazało się, że więcej głosów zebrał piłkarz Marek Citko. Ona była druga.

- Czułam, że tak będzie - skwitowała tamto zdarzenie, czekając w Victorii na rozstrzygnięcie przeprowadzanego od lat plebiscytu „Przeglądu Sportowego”. Wieczorem triumfowała. Ogłoszono ją najlepszym sportowcem Polski w 1996 roku.

Cena medali

Jej olimpijskie trofea leżą w wrocławskim mieszkaniu w szufladzie, razem z innymi pamiątkami. Brązowy medal, który zdobyła w strzelaniu z karabinu standard (3x20 strzałów) chciał odkupić od niej do swojej kolekcji pewien polski ksiądz, mieszkający w Niemczech. - Nie odpisałam na jego list, bo żadnego medalu nie sprzedam - twierdzi zdecydowanie. - Olimpijskie medale stanowią dla mnie wartość nieprzeliczalną na pieniądze.

Kiedy wyruszała na igrzyska olimpijskie do Atlanty, nie interesowało jej, jakie nagrody czekają na polskich sportowców za zdobycie trofeów. Dopiero po szczęśliwym finale, ktoś jej powiedział, że otrzyma w kraju Fiata Cinquecento i 600 mln starych złotych.

- Nie obchodziły mnie premie, najważniejsze było dobre przygotowanie. Ale wierzyłam, że w Atlancie stanę na podium.

Całą gotówkę, którą otrzymała po igrzyskach w formie nagród, zainwestowała w mieszkanie spółdzielcze. Dość już ma ciasnoty. Marzy o własnym M-3.

- Jeszcze będzie mi brakowało nieco grosza - przelicza. Olimpijskie medale, jak twierdzi, wcale jej nie zmieniły. Owszem, na ulicy teraz prawie wszyscy ją poznają. Ludzie uśmiechają się, są przyjaźni. Ale słyszała też głosy, że uderzyła jej woda sodowa do głowy, z czym się zupełnie nie zgadza.

Plecy mistrza

Mistrzyni skarży się na ból pleców.

- Typowa dolegliwość strzelców - wyjaśnia. - Strzelcy są szalenie ambitni, to przeważnie ludzie zamknięci w sobie. Podczas zawodów przeżywamy mnóstwo emocji, których kulminacją są ogromne stresy. Najczęściej bronimy się przed tymi zjawiskami, napinając plecy. To taki odruch. W mięśniach pleców zbiegają się sploty nerwowe - tłumaczy. Trening strzelecki nie polega tylko na celowaniu do tarczy. Ogromny wpływ na formę mają ćwiczenia ogólnorozwojowe.

- Moja broń waży pięć i pół kilograma. Podczas treningów trzymam ją codziennie blisko



trzy godziny. Oddaję ponad sto strzałów. Sto strzałów, czyli sto wstrząsów spowodowanych odrzutem broni.

Zawodnik celujący do tarczy musi odznaczać się kondycją, niczym maratończyk. Renata Mauer mnóstwo czasu spędza na łyżworolkach.

- Kiedyś złamałam nogę i nie mogę teraz biegać, więc w ten sposób buduję formę.

Trzeba tak wyćwiczyć organizm, by w czasie zawodów nie czuć tętna pulsującego w skroniach. Zawodnik na medal to uosobienie spokoju, człowiek bez nerwów. Aby zachować zimną krew, strzelcy przeprowadzają specjalne treningi relaksacyjne.

- Przyjmujemy jakąś wygodną pozycję i rozluźniamy mięśnie. To ciężka praca nad sobą. Staram się uspokoić także poprzez odpowiedni sposób myślenia.

W strzelectwie, wydawać by się mogło, najważniejsze jest celne oko. Złota medalistka obala jednak ten mit.

- Przecież wielu zawodników ma słaby wzrok i strzela w okularach. Tak naprawdę, liczą się cierpliwość i koncentracja.

Pogoń za formą

Do zawodów staje ubrana w specjalną, dopasowaną kurtkę i spodnie. Strój jest tak sztywny, że przypomina kombinezon kosmonauty. Szwedzka firma Kurta Thune produkuje

Renata Mauer, mistrzyni olimpijska w strzelaniu, uznana za najlepszego sportowca Polski w 1996 roku. Wzrost 155 cm, waga 50 kg. Urodziła się 23 kwietnia 1969 roku w Nasielsku. Stan cywilny: panna. Mieszka we Wrocławiu. Studiuje zaocznie w tamtejszej Akademii Ekonomicznej. Występuje w barwach wrocławskiego klubu Śląsk. Jej trenerem jest teraz Andrzej Kijowski. W igrzyskach olimpijskich w Atlancie zdobyła złoty medal w konkurencji karabinka pneumatycznego (40 strzałów) i brązowy medal w strzelaniu z karabinka standard (3x20 strzałów). Inne ważniejsze osiągnięcia: pierwsze miejsca w zawodach o Puchar Świata (95 i 96 r.), srebrny medal w mistrzostwach świata w 1990 roku, brązowy medal w mistrzostwach świata w 1994 roku.

te strzeleckie gorsety, w których o wiele łatwiej zapanować nad dygotem mięśni. Ubiór wykonany jest z gęsto tkanego płótna, przeplatane włóknem węglowym. Człowiek, mający kłopoty z utrzymaniem równowagi, wstawiony w ten strój ponoć bez trudu zachowa pion. Na wiosnę Renata z trudem jednak wciągała kombinezon. Urodziła Natalkę, a potem dokonywała cudów, by rzucić zbędne kilogramy.

- Rok przed igrzyskami w Atlancie zaczął się dla mnie najcięższy okres. Cięża, dziecko i później błyskawiczna pogoń za odzyskaniem formy. Długo karmiłam Natalkę piersią, więc zabierałam ją na strzelnicę. Celuję, koncentruję się, a tu słyszę płacz dziecka. No, nie było łatwo...

Bohaterka jest zmęczona

Przyznaje, że dopiero teraz odczuwa zmęczenie. Ale równocześnie jest wściekła na sie-

bie. Myślała, że po powrocie z Atlanty wybierze się w ulubione Tatry, gdzie zna wszystkie niemal szlaki. Planowała, że zabierze się do pisania pracy magisterskiej, bo studiuje zaocznie ekonomię. Chciała pokreślić się w kuchni, jak każda gospodyni, która lubi gotować. Wreszcie obiecała sobie, że więcej czasu poświęci 11-miesięcznej Natalce. A tymczasem jej życie potoczyło się nagle w jakimś zwariowanym rytmie. Przyjmowała mnóstwo gratulacji, jeździła ze spotkaniami na spotkanie. Zapraszali ją do telewizji, do szkół i więzień. A później nadszedł czas plebiscytów. Prosto z balu sportowców Dolnego Śląska, gdzie oczywiście królowała, przyleciała samolotem na bal do Warszawy. I tak w kółko.

- Nie mam teraz czasu na najważniejsze. Na trening...

Lech Ufel



Dotknęłam tylko
palcem gliniastej bryły
po wejściu na kuter
- mówi Mirosław
Joachimowski.

TRUJĄCY



Iperyty

...zwany też gazem musztardowym (ma zapach musztardy), jest siarczkiem dwuchlorodwuetylowym. Istnieje też odmiana iperytu azotanowego. Należy do bojowych środków trujących. Pierwszy raz użyli go Niemcy podczas I wojny światowej (12 lipca 1917 roku) pod belgijską miejscowością Ypres, stąd nazwa.

Iperyty jest oleistą cieczą o temperaturze krzepnięcia + 13,5 st. C i wrzenia + 216 st. C, bardzo słabo rozpuszczalny w wodzie. W postaci czystej bezbarwny i bezwonny, a techniczny ma barwę ciemną. Silna trucizna, oddziałująca na organizmy żywe miejscowo i ogólnie. Objawy skażenia i zatrucia iperytem występują po kilku do kilkunastu godzinach. Powoduje trudno gojące się oparzenia skóry oraz trwałe i niebezpieczne uszkodzenia układu oddechowego (wdychanie powietrza skażonego iperytem przez 10 min. jest śmiertelne). Do odkażania przedmiotów stosuje się najczęściej wapno chlorowane, a ludzi - chloraminę.

Według ekspertów Komisji Helsińskiej, na dnie Bałtyku zalega ok. 45 tys. ton bojowych środków chemicznych. Nieoficjalnie mówi się, że może to być nawet 400 tys. ton.

Czterech najbardziej poszkodowanych w Szpitalu Marynarki Wojennej.

Bryłę iperytu, środka bojowego użytego już podczas I wojny światowej, wyłowili przypadkowo z Bałtyku w ubiegłym tygodniu rybacy z kutra „Wła-206” z Władysławowa. W porcie wyrzucili ją do pojemnika na śmieci, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia. Czterech, z poparzeniami, trafiło do Szpitala Marynarki Wojennej w Gdańsku. W sobotę ekipa wojsk chemicznych odnalazła i zneutralizowała miejsce wyrzucenia niebezpiecznej bryły na wyspiskach w Swarzewie.

Kuter „Wła-206” wypłynął na połowy w środę, 8 bm., o godz. 3. Na łowisko „Roman 9”, położone w odległości 30 mil morskich na północ od Władysławowa, dopłynął nad ranem. O godz. 8 rybacy wydali sieć, ale z uwagi na silny wiatr i fale, szybko ją wybrali. Załoga oczyściła, przełożyła łodem i złożyła w ładowni niewielką ilość złowionych ryb - 6 skrzynek dorszy i 2 - flaków.

Szyper nie wiedział

- Czekając na poprawę pogody, rzuciliśmy kotwicę - mówi Mariusz Kortas, szyper kutra. - Następnego dnia wiatr osłabł. Wznowiliśmy więc połowy o godz. 8. Po półtorzej godzinie wystąpiła awaria agregatu sprężającego powietrze. Wybraliśmy sieć, w którą wpadła niewielka ilość ryb i udaliśmy się do portu. We Władysławowie zacumowali-

śmy w czwartek o 14.20. Ryby złowione poprzedniego dnia przekazaliśmy do magazynu przedsiębiorstwa połowowego „Szkunera”, a mechanicy przystąpili do naprawy agregatu. Pomagał im Mirosław Joachimowski, brat armatora, który nie był z nami na łowisku. Po godz. 20 okazało się, że awarii nie usuniemy. Postanowiliśmy pozostać w porcie do piątku.

Rano mechanik przyszedł na kuter z poparzonymi rękami. Lekarz zakładowy „Szkunera” dał mu zwolnienie, sądząc, że uległ zwykłemu poparzeniu termicznemu. Jednakże po zgłoszeniu się drugiego rybaka z podobnymi objawami, powiadomił portową placówkę sanitarną, chemiczną jednostkę wojskową w Rozewiu. Rybacy mający kontakt z iperytem przyjęci zostali jeszcze w piątek do Szpitala Marynarki. Poparzyli się nim Andrzej

K., starszy marynarz, Tomasz C., młodszy rybak, Tadeusz K., mechanik i brat armatora Mirosław, którzy dotykali bryły lub wycierali ręce w te same szmaty.

Zaraz po południu na kuter przyjechała ekipa wojskowa. Po zbadaniu jednostki żołnierze chemicy byli prawie przekonani, że nastąpiło skażenie iperytem. Na polecenie kapitana portu, kuter przeholowano więc i zacumowano przy nabrzeżu stoczni rybackiej, odgrodzonym płotem od terenu portowego. O godz. 18 żołnierze przystąpili do odkażania. Sflukali środkiem neutralizującym całą jednostkę, sieci i ok. 200 plastikowych skrzynek na ryby. Z kutra usunięto też i zniszczono obicia tapicerskie, ubrania, szmaty i żywność. Akcja trwała do 2 w nocy. Na szczęście ładownia nie była skażona.

- Nikt z załogi nie powiadomił mnie o wyłowieniu w drugim zaciągu jasnobrązowej bryły - dodaje Mariusz Kortas. - Zauważyłem ją dopiero w porcie. Leżała na pokładzie przy wciągacze sieciowej. Miała konsystencję i barwę gliny. Była wielkości piłki futbolowej i mogła ważyć ok. 5 kg. Rybacy włożyli ją najpierw do plastikowej torby,

a w porcie wyrzucili do pojemnika na śmieci, stojącego na nabrzeżu. Pojemnik wywieziono w piątek na wyspisko miejskie w Swarzewie. Od żołnierzy chemików dowiedzieliśmy się, że tak wygląda iperyt.

Aby zapobiec...

- Nie jest tajemnicą, że na dnie Bałtyku w wielu miejscach zalegają pojemniki z gazami bojowymi z okresu II wojny światowej - mówi Daniel Duda, dyrektor ds. administracji morskiej Urzędu Morskiego w Gdyni. - Na niektórych obszarach występuje ich duże nagromadzenie i prowadzący połowy muszą się z tym liczyć. Aby zapobiec podobnym wypadkom, jak na kuterze „Wła-206”, wspólnie z dyrekcją „Szkunera” podjęliśmy już decyzję o opracowaniu instrukcji dla rybów o opracowaniu instrukcji dla rybów, określającej postępowanie z wszelkimi nieznanymi przedmiotami. Powstanie także wewnętrzny regulamin administracji morskiej ustalający procedurę postępowania w przypadkach zagrożeń. Nie możemy wykluczyć, że takie zdarzenia powtórzą się.

- Wydałem polecenie odholowania skażonego kutra na wydzielone miejsce cumowania - relacjonuje

POŁÓW



środki neutralizujące. Nowy włók dorszowy kosztuje ok. 15 tys. zł. Będę musiał wymienić całą tapicerkę, ubrania robocze, bieliznę i ubrania sztormowe. Przerwaliśmy połowy, a właśnie rozpoczął się pięciomiesięczny sezon na łowienie dorszy. Kuter „Wła-206” należy do jednostek burtowych B-25 i nie nadaje się do połowów innych ryb. Liczę, że „Warta” wyrówna mi straty.

To był iperyt

- Kuter wyłowił bryłę iperytu - mówi kpt. mar. **Dariusz Rudziński**, dowódca 55 Kompanii Przeciwcemniczej z Rozewia. - Potwierdziły to badania wykonane zarówno nowoczesnym przyrządem, niedawno otrzymanym z Francji, jak i analiza przeprowadzona w laboratorium przy pomocy chromatografu.

W odkażaniu kutra, poszukiwaniu iperytu na wysypisku i neutralizacji podchlorynem wapniowym uczestniczył wydzielony pododdział do rozpoznawania i likwidacji zagrożeń chemicznych. Skontrolowaliśmy też cały odcinek drogi prowadzącej od portu do wysypiska.

W 1983 roku pododdział odkażał już kuter z Władysławowa i wykrył ładunek ryb skażonych iperytem. Pomimo niskiej temperatury, środek ten jest groźny w przypadkach dotykania i spożywania. (Ulatnia się i zatruwa powietrze

dopiero w temperaturze powyżej + 15 st. C-J.S.)

Marynarka Wojenna ma rozpoznać jakie rejon Bałtyku są szczególnie zagrożone. Obowiązuje tam zakaz łowienia ryb. Po wojnie Rosjanie wyrzucali do morza pojemniki z iperytem, pochodzące z zapasów armii niemieckiej. Niestety, rybacy w pogoni za rybami łamali zakaz i nie zachowują ostrożności.

Bez pojemnika

- Stan ogólny czterech poszkodowanych rybaków jest dobry - powiedział nam Marek Hołowniako, lekarz dyżurny oddziału ortopedycznego Szpitala Marynarki Wojennej. - Stwierdził zewnętrznego poparzenia chemiczne skóry kończyn, głównie rąk, a u dwóch - także twarzy. Nie są to obrażenia bardzo poważne czy rozległe, ale w przypadku poparzeń środkami chemicznymi na określenie ich stopnia, głębokości i rozległości trzeba poczekać. Na razie ich powierzchnia nie poszerza się.

- Dotknąłem tylko palcem glinianej bryłki po wejściu na kuter - mówi Mirosław Joachimowski. - Każdy rybak wie, że jeśli w sieci znajdzie się jakiś pojemnik metalowy, to należy zachować ostrożność. Tym razem pojemnika nie było.

Jacek Siński

Fot. Wojciech Lendzion



Ta sieć chyba będzie zżarta przez środki odkażające.

Cezary Undro, kapitan portu Władysławowie. - Zainteresowałem się też sprawą zabezpieczenia oraz wyselekcjonowania z ładunku ryb, które mogły być skażone, informując o niebezpieczeństwie Romualdę Białkowską, dyktora „Szkunera”. Zawiadomiłem służby Wojewódzkiej Inspekcji Sanitarnej, aby podjęły działania zabezpieczające.

- Ustaliliśmy, że 30 kg dorsza oddanych do magazynu „Szkunera” pochodziło z pierwszego zaciągu - mówi **Mirosław Przybył**, prokurator rejonowy w Pucku. - Natomiast ryby z drugiego zaciągu zostały zabrane na własny użytek. Zostały one zniszczone.

Straty

- Było szczęściem w nieszczęściu, że awaria agregatu przerwała połowy - mówi **Andrzej Joachimowski**, armator kutra „Wła-206”. - Jednostka jest jeszcze własnością „Szkunera” i spłacam za nią raty. Poniosłem już ogromne szkody. W tym roku przeprowadziłem na kutrze prace konserwacyjno-malarskie. Żołnierze odkażający jednostkę powiedzieli mi, że sieć i farba na pokładzie mogą być zżarte przez



Odkazanie wysypiska śmieci w Swarzewie.

Jesteśmy rytmiczni, ale leniwi

Tańczyć każdy może

Disco samba to taki taneczny wytrych, doskonale pasujący do każdej praktycznie muzyki dyskotekowej. Może właśnie dlatego tak długo utrzymuje się w czołówce? Wiecznie młody jest też rock and roll. Wraca, szczególnie wśród dorosłych, moda na tańce klasyczne: tango, walca. Znak to, że ludzie znów chcą tańczyć ze sobą, a nie tylko obok siebie.



Polacy są narodem dość rytmicznym, choć daleko nam pod tym względem do Rosjan.

Fot. Robert Kwiatek

Z Krzysztofem Polańskim, właścicielem najstarszej Szkoły Tańca w Polsce, rozmawia Szymon Burma

- Co się w tym karnawale tańczy? Jaki taniec jest najmodniejszy?

- Nie ma jednego przeboju sezonu, jakimi swego czasu były zorba, mambo, czy lambada. Już od trzech lat ludzie najchętniej tańczą swinga i disco sambę, zwłaszcza tę ostatnią. Disco samba to taki taneczny wytrych, doskonale pasujący do każdej praktycznie muzyki dyskotekowej. Może właśnie dlatego tak długo utrzymuje się w czołówce? Wiecznie młody jest też rock and roll. Wraca, szczególnie wśród dorosłych, moda na tańce klasyczne - tango, walca; znak to, że ludzie znów chcą tańczyć ze sobą, a nie tylko obok siebie. Rap jest nadal na topie, ale zajmuje się nim już głównie „najmłodsza młodzież” - ta ze szkół podstawowych.

- Wiele osób ma opory przed nauką tańca. Mówią: po co mi to, kiedy i tak się nie nauczę...

- Opory, o których pan mówi, to już taka zaściankowa przeszłość sprzed dobrych kilku lat. Teraz to się szalenie zmieniło: nikt nie wstydi się tego, że uczęszcza na naukę tańca. Do szkół tańca zgłaszają się ludzie bardzo, ale to bardzo doświadczeni, co kiedyś było nie do pomyslenia. Dużą rolę w tej zmianie obyczajów odegrała telewizja, transmitując sprawozdania z turniejów tańca towarzyskiego.

- A czy Polacy mają dryg do tańca?

- Z pewnością nie taki, jak Murzyni, ale to nic dziwnego, bo w ogóle rasa biała ma znacznie mniej ruchowej spontaniczności niż czarna. Polacy są jednak na ogół narodem dość rytmicznym, choć daleko nam pod tym względem do Rosjan. Niestety, Polacy są leniwi i dlatego taniec nie stoi u nas na wysokim poziomie. Ale, jeśli już ktoś weźmie się za naukę - bardzo rzadko nie nauczy się tańczyć. Być może nie będzie jakąś szczególną ozdobą parkietów, ale i ściany też nie będzie podpieścić. Takich, którzy są zupełnie pozbawieni poczucia rytmu jest u nas - moim zdaniem - nie więcej, jak 1 proc. i tylko ich przypadki są beznadziejne.

- Kto przeważa wśród uczestników szkół tańca? Z pewnością młodzież.

- Młodzieży rzeczywiście jest najwięcej, ale coraz więcej przychodzi też osób dojrzałych - studentów starszych lat studiów lub pracujących. Przychodzi również wiele małżeństw w średnim wieku, które - od-

chowawszy dzieci - mają więcej czasu dla siebie.

- Więcej jest kobiet czy mężczyzn?

- Przez całe lata 60. i jeszcze w latach 70. w mojej szkole byli głównie mężczyźni. Potem, w latach 80. sypnęło kobietami. Teraz, od paru już lat, napływ jest bardzo wyrównany: pół na pół.

- Ile trzeba się uczyć, żeby móc z wdziękiem lub choćby tylko poprawnie zatańczyć?

- Przypominam: cały czas mówimy o nauce użytkowego tańca towarzyskiego, bo taniec turniejowy to oddzielna kwestia - tam trzeba zaczynać w wieku 5 lat i całymi latami morderczo trenować. W mojej szkole grupy kurs pierwszego stopnia trwa 4 miesiące, po 2 godziny nauki tygodniowo. W ciągu pierwszego miesiąca poznaje się tango, walca i dwa tańce dyskotekowe - disco, sambę i swinga. W drugim miesiącu dochodzi rock and roll, w trzecim - tańce latynoamerykańskie, np. cha-cha. Przez cały czas utrwała się już poznany materiał i wzbogaca go o nowe figury.

- Kiedy człowiek lepiej poznaje i przyswaja arkana sztuki tanecznej - podczas zajęć grupowych czy indywidualnych?

- Z pewnością w czasie zajęć indywidualnych instruktor może poświęcić adeptowi znacznie więcej czasu niż w grupie. Ponadto w grupie obowiązuje z góry ustalony program, a podczas zajęć indywidualnych programem są życzenia klienta. Bywa, że czasami tuż przed ślubem i ucztą weselną wpada do mnie przyszły pan młody i już od progu woła: mam nóż na gardle, muszę w dwa dni nauczyć się walca wiedeńskiego!

Ale grupa też ma swoje dobre strony. Przede wszystkim - po ukończeniu takich zajęć nasze umiejętności taneczne nie ograniczają się do jednego tylko tańca. Po wtóre - w grupie zdobywa się parkietowe obycie, coś, co nazwałbym kulturą, czy też oglądą taneczną. Ta umiejętność zachowania się przed tańcem, w tańcu i po tańcu jest niemniej ważna od umiejętności rytmicznego przebiegania nogami.

- A jakie najczęściej bywają życzenia „indywidualistów”?

- To w dużej mierze zależy od okresu. W czerwcu np. jest szczyt sezonu ślubów - wówczas króluje wspomniany przed chwilą walc wiedeński. Przez cały rok - disco samba i rock and roll.

- Dlaczego ludzie chcą nauczyć się tańczyć?

- Z wielu powodów. Przede wszystkim - kto nie umie tańczyć, jest poniekąd kaleką. Taniec jest przecież obecny przy niemal wszystkich towarzyskich okazjach. Wiele osób podejmuje naukę tańca, żeby przy okazji poznać kogoś miłego, z kim można by ewentualnie dzielić nawet życie. Nie ma kursu, podczas którego nie skojarzyłaby się jedna albo i dwie pary.

Jest też grupa osób - należą do niej np. biznesmeni czy pracownicy ambasad - dla których ze względu na częste obowiązki reprezentacyjno-towarzystwie umiejętność tańca jest jakby zawodową koniecznością. Ludzie ci dość często nie lubią tańczyć, ale tańczyć muszą, toteż z reguły ograniczają się do nauki absolutnie niezbędnego tanecznego minimum.

- Mówi się, że taniec leczy...

- I jest to szczerą prawdą - stale mam klientów, którzy zgłaszają się ze skierowaniem od lekarza na terapię tańcem. Są to z reguły ci, którzy powinni wykonywać określone ćwiczenia rehabilitacyjne, a nie mają do tego wystarczającej siły woli; lekarz liczy, że w tańcu zrobią to niejako mimochodem.

- W jakich schorzeniach taniec pomaga?

- Przede wszystkim przy otyłości. Wzmaga też i pobudza krążenie. Jest pomocny - jako wszechstronne ćwiczenie mięśni - przy likwidowaniu skutków urazów aparatu ruchowego i ograniczaniu następstw stanów zwyrodnieniowych kręgosłupa.

- Pańska szkoła reklamuje się jako najstarsza w Polsce Szkoła Tańca...

- Założył ją w roku 1927 nieżyjący już prof. Stanisław Kłosowski. I od tamtej pory szkoła funkcjonuje niemal bez przerw. Tutaj, stale w tym samym miejscu Warszawy, odbywały się konspiracyjne zajęcia nawet podczas okupacji. Do tamtych czasów nawiązywał zresztą jeden z odcinków serialu „Polskie drogi”, gdzie w postaci nauczyciela tańca, mającego wiele cech prof. Kłosowskiego, wcielił się, również dziś już nieżyjący, Zdzisław Maklakiewicz. Także ja w tej szkole przez prawie 20 lat, pod okiem prof. Kłosowskiego, zgłębiałem tajniki mało u nas znanej wiedzy o nauczaniu tańca towarzyskiego.

Dobre maniery zastąpił dziś luz, który próbuje tuszować całkowity brak ogłady.

Etykieta

i opat z Wąchocka

S kąd jednak młodzi ludzie mają wiedzieć jak się zachować w towarzystwie, skoro nikt ich tego nie uczy? Rodzice albo sami nie wiedzą, albo nie mają czasu na uczenie dzieci. Szkoła? Odpada całkowicie, jest bowiem raczej wylęgarnią chamstwa. Wystarczy popatrzeć i posłuchać, jak się chłopcy odnoszą do dziewczyn, i co one na to. A jednak niezwykła swego czasu popularność porad „Przekrojowego” Jana Kamyczka, wciąż słane listy do różnych redakcji z prośbą o pomoc, czy też wprowadzone ostatnio w niektórych prywatnych szkołach zajęcia z zachowania - to wszystko świadczy, że mimo wszystko czasem chcielibyśmy choć wiedzieć, na czym polega bycie grzecznym. A jak proste i dziecinnie łatwe do opanowania są obecne zasady - najlepiej można przekonać się porównując je z dawnymi obyczajami towarzyskimi oraz dworskimi ceremoniałem.

Zimna pycha

Za twórców najbardziej wyrafinowanej formy elegancji uchodzą Francja oraz Hiszpania wieku XVII (co bardzo ciekawie opisała Bożena Fabiani w książce „Życie codzienne na Zamku Królewskim w epoce Wazów”). Z grubsza rzecz ujmując, hiszpańska etykieta polegała na zachowaniu zimnym, pełnym pychy, bardzo wyniosłym i tak sztywnym, jakby kto kij połknął. Te nadęte reguły przyjęły się w większej części Europy, a wydane drukiem stanowiły obowiązujący kodeks grzeczności dobrze urodzonych. Grandowie i baronowie musieli wkuwać na pamięć skomplikowane formuły pozdrowień, wiedzieć jak we własnym domu powitać gościa, na ile kroków wyjść mu naprzeciw, a na ile odprowadzić do drzwi (w zależności od tytułu, majątku, znaczenia i łaski pańskiej). Kiedy i jak się komu kłaniać, przed kim zdejmować kapelusze, a komu tylko niedbale skinąć głową.

W życiu dworskim każdą chwilę zatrzymywała myśl o kolejności miejsc w orszaku. Był to problem wagi tak niesłychanej i skomplikowany do tego stopnia, że bywał zupełnie niemożliwy do rozwiązania. Kapitałnym przykładem może być tu paryska ceremonia zaślubin króla polskiego Władysława IV z francuską księżniczką Ludwiką Marią. Aby rzucić na kolana strojnych polskich posłów, francuski dwór zaplanował przebogaty ceremoniał - a nie udało się nawet zwykłego orszaku sformować, tak bardzo każdy chciał kroczyć przed innym.

Królewska toaleta

Równie skomplikowana była królewska toaleta. Otóż ubieranie króla Hiszpanii Filipa IV trwało każdego dnia, bez chwili przerwy, dwie bite godziny, podczas których w grobowej ciszy dwudziestu książąt krwi i grandów uczestniczyło w ceremonii wkładania koszuli na królewski grzbiet oraz mycia dostojnych dłoni (bo do tego ograniczały się higieniczne zabiegi). Z królową było jeszcze ciekawiej. Rozbierano ją w podobnej

ciszy w jakiej ubierano króla i to nie tylko w gotowni. Jeżeli minęła godzina dziewiąta i królowa jeszcze siedziała przy wieczerzy, dwie damy dworu wchodziły pod stół, gdzie z największą powagą i szacunkiem zdejmowały jej pończochy, po czym brały swą panią na ręce i zanosiliły do łóża. Pustego najpewniej, bowiem Filip IV obowiązek znoszenia bez skargi tej ponurej dworskiej etykiety odbijał sobie niesłychaną rozpustą po nocach.

Zachodnie błazeństwa

Nasi Wazowie hiszpański kodeks grzeczności studiowali, jednakże w Polsce nie przyjął się, bowiem magnaci okrutnie go wyśmiewali i uważali za spis grubiaństw. Szlachtę raziły poniżające targi o miejsce w szeregu, uważała je bowiem za gwałcenie świętych praw gościnności. A śmieszyła i irytowała pedantyczna dbałość w wyliczaniu wszystkich tytułów. Gdy podczas rozmów pokojowych w 1629 r. Szwedzi zagrozili przerwaniem rokowań z powodu błędnie sformułowanego jednego z licznych tytułów królowej Krystyny, wojewoda wileński Krzysztof Radziwiłł wściekł się: chyba sobie żarty z niego stroją. A gdy dwaj ważni mediatorzy, francu-

ski i angielski, podczas obrad cały czas obserwowali się pilnie i każdy gest jednego powodował natychmiastowy odruch u drugiego, Polacy uznali, że „tymi błazeństwami bardziej byli poszli na mały, niż na wielkich ludzi”.

W Polsce nie uczono też (w przeciwieństwie do Hiszpanii i Francji) senatorskich dzieci pychy i wyniosłości. Albowiem, jak pisał Jakub Sobieski, ojciec późniejszego króla Jana III, „u nas w Polsce brzydzą się takimi ludźmi”.

Opat z Wąchocka

Brak poszanowania dla europejskiej etykiety nie znaczył braku jakichkolwiek zasad grzeczności na polskich dworach. Najstarszym, bo z przełomu XIV i XV wieku, zachowanym zabytkiem polskiej literatury świeckiej jest wierszowane dzieło Słoty „O zachowaniu się przy stole”, a w 1566 podręcznik dobrych manier, czyli „Dworzanina polskiego”, wydał drukiem Łukasz Górnicki. Generalnie jednak polska etykieta dworska działała na zasadzie precedensów oraz tradycji. A ponadto, na okazje wyjątkowe, kancelaria królewska przygotowywała specjalne instrukcje. Nic dziwnego, że nie obznajomieni z naszymi obyczajami cudzoziemcy mieli niebawem kłopoty z grzecznością, a ci, którzy chcieli uniknąć gaf, przed przyjazdem musieli szczegółowo przepytwać byłych ambasadorów. Dla ułatwienia życia zagranicznym posłom, strona polska oddawała im do dyspozycji eksperta od zachodnioeuropejskich i krajowych manier. Za Wazów takim znawcą na dworze był opat z Wąchocka, Jan Kownacki (oto jak historia potrafi oddać sprawiedliwość miastu, spostonowanemu dowcipami).

Grzecznie przy obcych

Rodzinę królewską traktowano w Polsce w sposób dość familiarny. Nikt królowej pończoch pod stołem nie zdejmował, a marszałek nadworny nie czekał na klęczkach (jak w Hiszpanii) aż władca do stołu się zbliży by łaskawie śniadać. Kłaniano się nisko, owszem, niekiedy obejmowano pod kolana (z szacunkiem należnym i okazywanym ojcu), ale tylko posłowie tatarscy mieli zwyczaj wchodzenia na audiencję na kolanach i bicia czołem o stopnie tronu. Najbardziej ostantacyjnie okazywano królowi szacunek wobec obcych. Z różnym zresztą skutkiem, bo nie zawsze chciało się magnatom pędzić ze swych majątności tylko po to, by osobami swymi dodać świetności królewskiemu orszakowi. Tymczasem dla delegacji ze Wschodu brak świetnej oprawy i dużej świty był sygnałem upadku potęgi Rzeczypospolitej.

Generalnie jednak królów szanowano, a i oni uprzejmie starali się traktować swych poddanych - demokratycznymi zasadami współżycia wprawiając w osłupienie zachodnich posłów.

Małgorzata Sokołowska



Polak - Apacz dwa bratanki

W mundurach, z koltami przy pasach i walkie-talkie w dłoniach, wyglądają niezbyt egzotycznie. Czasem tylko spod policyjnego kapelusza w stylu misia Yoggi wystają kruczo-czarne warkocze, zaplecione zgodnie ze starą indiańską tradycją.

Pierwszych w swoim życiu, prawdziwych Indian Bartek Stranz poznał siedem lat temu w... Polsce, podczas organizowanego tutaj biegu pokoju. Działal już w Ruchu Przyjaciół Indian i pomagał w organizacji imprezy, w której wzięli udział goście z Wielkiej Wody.

Jak zaczęła się przygoda

- W 1992 roku zaprosili mnie do siebie, do Stanów - mówi Bartek. - Pojechałem, by wziąć udział w podobnym biegu, organizowanym przez Amerykański Ruch Indian. Po imprezie trochę włóczyłem się po Ameryce, odwiedzając kolejnych członków mojej polskiej rodziny. Nie bardzo wiedziałem, co ze sobą robić, a w Polsce - poza najbliższymi - tęskniło za mną... Ministerstwo Obrony Narodowej.

Na początku pomagał mu kumpel, który już trochę zdomowił się w USA i dał dach nad głową. Bartek zaczął pracować na czarno. Jako kelner, cukiernik, mechanik samochodowy, członek ekipy remontowo-budowlanej, sprzątac. W końcu trafił do parku narodowego Glacier National Park, gdzie zatrudnił się przy wycince drzew. Pracował razem z Indianami i tak zaczęła się przygoda.

Nie ma, jak w rezerwacie

Park jest częścią wielkiego, rozciągającego się na terytorium USA i Kanady rezerwatu plemienia Czarnych Stóp. Rezerwat to dzisiaj nie to samo, co w czasach bezwzględnych rewolwerowców i Wielkiego Białego Brata, wykupującego ziemię Indian za skrzynki whisky i kolorowe koraliki. Stano- wi on swoiste „państwo w państwie”, na którego czele stoi wódz i rada szczepu. Indianie mają też swój, wybierany co dwa lata, parlament. Plakaty, mityngi wyborcze i debaty - wszystko to sprawia, że indiańskie wybory przypominają raczej lokalną elekcję w jednym z tysięcy prowincjonalnych miasteczek USA, niż walkę o plemienną władzę.

Rezerwat ma też swoją indiańską policję. Rączy Jeleń i Błękitna Strzała patrolują okolicę wielkim granatowym Chevroletem, bacząc, czy wszystko jest w porządku. Czasem pomogą przepędzić przez jezdnię upartą krowę, innym razem poratują właściciela auta, nie mogącego odpalić swojego jeepa w czterdziestostopniowym mrozie. W mundurach z koltami przy pasach i walkie-talkie w dłoniach, wyglądają niezbyt egzotycznie. Czasem tylko spod policyjnego kapelusza w stylu misia Yoggi wystają kruczo-czarne warkocze, zaplecione zgodnie ze starą tradycją.

Czarne Stopy w Hollywood

Rezerwat rządzi się swoim, odmiennym od stanowego prawem, dlatego jego mieszkańiec, przyłapany na przestępstwie poza granicami ziemi Indian, robi wszystko, by do niego wrócić. Niektóre rezerwaty mają nawet prawo przyznawania azylu uchodźcom, z czego skwapliwie korzystają Latynosi, ubiegający się o zieloną kartę w Stanach.

Mieszkańcy rezerwatu nie przystają do stereotypu czerwono-skórych dzikusów, żyjących z łowiectwa i zbieractwa. Większość zajmuje się pracą w rolnictwie i prowadzi własne farmy albo przedsiębiorstwa turystyczne, bowiem rezerwat to raj dla poszukiwaczy przygód i nieskażonej cywilizacją natury. Są też wśród Czarnych Stóp prawdziwi ludzie sukcesu „made in America”, tacy jak Steve Reeves. Zaczynał jako statysta w Hollywood

i tam też zrobił prawdziwie hollywoodzką karierę. Ma na swoim koncie - artystycznym i bankowym, co w USA liczy się szczególnie - role w takich obrazach, jak „Tańczący z wilkami”, „Geronimo”, czy „Crazy Horse”. Steve jest także tancerzem tradycyjnych tańców indiańskich i - jak wyznał w jednym z wywiadów - marzy o tym, by przyjechać do Polski, gdzie mógłby zaprezentować przyjaciółom zza Wielkiej Wody odrobinę kultury indiańskiej.

Indianie w Wietnamie

Drugim indiańskim gwiazdorem filmu jest Michael Perry. Zaskłynął rolami w takich klasykach, jak „Ostatni Mohikanin”, czy popularny serial-gigant „Star Trek”. Michael jeździ też po Sta-



Są też wśród Czarnych Stóp prawdziwi ludzie sukcesu „made in America”, tacy jak Steve Reeves, który zrobił prawdziwie hollywoodzką karierę - pamiętamy go chociażby z filmu „Tańczący z wilkami”.

Fot. Archiwum prywatne

nach z prelekcjami na temat nadużywania alkoholu i narkotyków. Był kiedyś żołnierzem, walczył w Wietnamie i poza strasznymi wspomnieniami, przywiózł stamtąd kawałek amerykańskiej flagi, który teraz - zgodnie z indiańską tradycją - stanowi element jego odświętnego stroju wojownika.

Znajduje też czas na muzykę, ale bynajmniej nie w indiańskim stylu. Prowadzi kapelę rockową Only The Brave, grającą metaliczny pop.

- Oni bardzo lubią Polaków, choć jestem jednym z niewielu, jakich znają - mówi Bartek Stranz, spędzający w rezerwacie już czwarty rok. - Uważają, że pierwszą rzeczą, jaka łączy nasze narody, jest tragiczna historia: u nich prześladowania przez białych przybyszów w ubiegłym stuleciu, u nas - zabory. Cenią też naszą odwagę i upór w walce o niepodległość.

Bartek długo wahał się, czy na dobre „zostać Indianinem”. Z jednej strony była stara ojczyzna, przyjaciele i znajomi w Gdańsku, a z drugiej urzekająca, egzotyczna kultura prawowitych mieszkańców Ameryki i życzliwość Czarnych Stóp wobec przybysza z Europy. Nie sposób też nie wspomnieć o pewnej czarnowłosej skwaw...

Co łączy orla, jelenia i niedźwiedzia

Indiańską wrażliwość ukształtowała natura. „Kiedy świerkowa igła upadała, orzeł ją widział, jeleni ją słyszał, a niedźwiedź czuł jej zapach”, mówi stare indiańskie przysłowie. Prawdziwy wojownik jest jak orzeł, jeleni i niedźwiedź, dlatego musi być czuły na głosy otoczenia. W dzisiejszym, skomercjalizowanym świecie tego rodzaju osobowość nie zawsze pomaga w życiu, dlatego wśród indiańskiej młodzieży (podobnie zresztą jak u białych) problem nadużywania alkoholu i narkotyki bywają powodem życiowych zakrętów. Społeczność plemienna stara się walczyć z tym zjawiskiem. Organizowane są „marsze nadziei”, zbiera się pieniądze, zakłada specjalne ośrodki i finansuje programy pomocy dla tych, którzy chcą wyjść z nałogu.

- Myślę, że zostałem przez „moich” Indian zaakceptowany, mimo że pochodzę z drugiej strony globusa - mówi Bartek. - Jedną z rodzin adoptowała mnie nawet jako przybranego, indiańskiego syna. Mam swoje imię - Źródło - i zawsze mogę liczyć na ich pomoc. Takie poczucie wspólnoty bardzo pomaga w zaaklimatyzowaniu się na obcym kontynencie. Od bardzo banalnych spraw, jak pożyczanie samochodu na wyprawę w góry do wsparcia duchowego w chwilach, gdy tęsknicza za Polską, za Gdańskiem daje się szczególnie we znaki.

W indiańskim college'u

- Ja z kolei staram się pokazać im Polskę najpiękniejszą, jaką znam - mówi Bartek. Nie rozwodzi się specjalnie nad naszymi narodowymi przyprawami. Jeżeli przyjadą do naszego kraju - a wiem, że są bardzo jego ciekawi - to sami będą mogli wyciągnąć wnioski z obserwacji. Na razie są zachwyceni naszą kuchnią. Czarują ich bigosem, kotletami i żurkiem.

Bartek długo wahał się, czy na dobre „zostać Indianinem”. Z jednej strony była stara ojczyzna, przyjaciele i znajomi w Gdańsku, a z drugiej urzekająca, egzotyczna kultura prawowitych mieszkańców Ameryki i życzliwość Czarnych Stóp wobec przybysza z Europy. Nie sposób też nie wspomnieć o pewnej czarnowłosej skwaw, do której czuje osobliwe uczucie.

- Udało mi się uzyskać zieloną kartę na pobyt w USA i od tego roku zaczynam naukę w indiańskim college-u - mówi. - Uzna- no tam moją polską maturę i z części przedmiotów jestem zwolniony. Będę za to przez kilka godzin w tygodniu zgłębiał tajniki indiańskiego języka i jestem dobrej myśli, bo fonetycznie ich mowa jest zbliżona do polskiego. Mają w niej między innymi tak niepopularne w Ameryce, stanowiące polską specjalność: sz, cz, ś i ż. Oprócz tego są przedmioty do wyboru: marketing, informatyka, ekonomia.

Co jest cenniejsze od pieniędzy?

- Na początku mojego pobytu na Ziemi Obiecanej, jak każdy imigrant, chciałem się dorobić, ale wkrótce zrozumiałem, że pieniądze to nie wszystko. Są jeszcze podróże, przyjaźń, więź z ludźmi żyjącymi wokół ciebie a czasem... miłość. Indianie pomogli mi do tego dojść.

Bartek marzy, by jeszcze w tym roku przywieźć swoich przyjaciół z plemienia Czarnych Stóp do Gdańska. Okazją mógłby być odbywający się tutaj latem Festiwal Ludów Północy, gdzie pokaz indiańskich tańców i ceremonii byłby zapewne wydarzeniem. Podczas ostatniego pobytu w Trójmieście nie tylko spędzał święta z rodziną, ale i jeździł po najróżniejszych instytucjach, szukał sponsorów, zafatwiał kontakty.

- Chciałbym pokazać im prawdziwą Polskę, tak jak mnie udało się zobaczyć i poznać prawdziwych Indian - mówi. - Może polubią blade twarze znad Wisły, tak jak ja polubiłem ich?

Tomasz Zajac

Auto



Golf od lat jest europejskim liderem sprzedaży w klasie aut kompaktowych. Wersja VR6 ma silnik o mocy 174 KM. Prędkość maksymalna 224 km/godz., przyspieszenia 0-100 km/godz. w 7,8 sekundy.

Przed dwoma miesiącami, 13 listopada 1996 roku z taśm montażowej zakładów koncernu Volkswagen w Wolfsburgu zjechał czerwony, pięciodrzwiowy Golf TDI. Obecność przy tym wydarzeniu przedstawicieli zarządu spółki uzasadniał fakt, że był to 17-milionowy Golf wyprodukowany przez VW.

W roku 1968 Volkswagen świętował wyprodukowanie 15-milionowego „garbusa”. Pobito w ten sposób ustanowiony 41 lat wcześniej przez Forda rekord modelu T. Ale szefowie koncernu byli nie na żarty zaniepokojeni. Sprzedaż „garbusa” spadała na łeb na szyję, zaś tylnosilnikowe modele, które go miały zastąpić nie znajdowały uznania na rynku. Wszystkie one - poczynając od VW 1500 aż po dużego 411 - były tylko prostym rozwinięciem

pomysłu doktora Ferdynanda Porsche

z wczesnych lat trzydziestych. Miały nieekonomiczne, hałaśliwe silniki o niewielkiej mocy, słabe ogrzewanie, małe bagażniki oraz - co najważniejsze - wskutek niekorzystnego rozkładu mas na przednią i tylną oś fatalnie się prowadziły w krytycznych sytuacjach były wręcz nie do opanowania dla przeciętnego

kierowcy. Upór prezesa Nordhoffa, który uważał doskonałość przedwojennej konstrukcji za bezdyskusyjny pewnik, doprowadził koncern na skraj katastrofy.

Ponieważ w biurach konstrukcyjnych VW panowała stagnacja, zaczęto szukać ratunku gdzie indziej. Znalaziono go w przejętych w roku 1964 zakładach Auto-Union, produkujących samochody Audi i NSU. Na początek, w roku 1970 wprowadzono na rynek pod marką Volkswagena nowoczesny,

przednionapędowy model K-70

z silnikiem chłodzonym wodą, opracowany przez konstruktorów firmy Audi. Po nim do produkcji skierowano Passata, który nie był niczym innym niż Audi 80 przekonstruowane z limuzyny na trzy- lub pięciodrzwiową kombilimuzynę. Nowe auta sprzedawały się dobrze, kata-

strofa została zażegnana. Ale ciągle brakowało modelu, który by zastąpił „garbusa” w klasie aut popularnych. Wielki debiut nastąpił w kwietniu 1974 roku. Wówczas z taśm montażowej zjechał pierwszy

Volkswagen Golf.

Samochód wyposażono w silnik o pojemności 1100 lub 1500 cm sześć, ustawiony poprzecznie z przodu i napędzający przednią oś. Skrzynia biegów miała cztery przełożenia plus bieg wsteczny. Koła przednie zawieszono na pojedynczych wahaczach poprzecznych i zwrotnicach kolumnowych MacPhersona, tylne - na wahaczach wleczonych połączonych belką skrętną działającą jako stabilizator. Pierwsze Golfy miały przy wszystkich kołach hamulce bębnowe, wkrótce jednak z przodu zastosowano tarcze. Samochód miał ok. 380 cm długości, 240-centymetrowy rozstaw osi (identyczny jak „garbus”) i we wnętrzu mieścił wygodnie 4 do 5 osób oraz bagaż o objętości 240 dm sześć.

Projektantem nadwozia był słynny szef firmy Italdesign, Giorgio Giugiaro, który podobno ujrzawszy swoje dzieło po re-

tuszach w fabryce odzegał się jednak od autorstwa. Chyba zbyt pochopnie, bo proste, estetyczne linie Golfa nie zestarzały się do dziś, zaś koncepcja nadwozia z dużą klapą tylną i możliwością powiększania bagażnika to obowiązujący do dziś powszechnie

kanon w klasie aut kompaktowych.

Od pojawienia się Golfa wszystkie nowe auta tej klasy musiały już być nieuchronnie porównywane z Volkswagenem, który stał się czymś w rodzaju wzorca metra z Sevres w popularnej motoryzacji.

W dwa lata po premierze pojawiła się atrakcyjna, usportowiona wersja Golfa, nosząca oznaczenie GTI. Przygotowano też - i była to na owe czasy spora sensacja - odmianę z lekkim, półtoralitrowym silnikiem wysokoprężnym, który stanowił modyfikację gaźnikowej jednostki o poj. 1500 cm sześć. Pojawiła się użytkowa odmiana Caddy oraz piękny kabriolet. Po paru latach przygotowano odmianę Golfa z wyodrębnionym, pojemnym bagażnikiem. Otrzymała ona nazwę Jetta.

Wielka modernizacja nastąpiła w roku 1983.

Golf II

był dłuższy i szerszy od poprzednika. Zwiększony rozstaw osi sprawił, że wnętrze stało się bardziej przestronne. W stylizacji nadwozia widoczna była dbałość, aby zmieniając wszystko zmienić jak najmniej. Podobieństwo aut obu generacji jest oczywiste.

Rozwijając produkcję Volkswagen wzbogacił znacznie gamę silników stosowanych w Golfach. Zrezygnowano wprawdzie z najmniejszego silnika benzynowego o poj. 1100 cm sześć, ale za to pojawił się m.in. bardzo udany, długowieczny silnik 1300 cm sześć, oraz dynamiczny i superszczędny turbodiesel o poj. 1600 cm sześć.

Latem 1991 roku pojawił się Golf III, odróżniający się od poprzednika podłużnymi reflektorami i jeszcze masywniejszym nadwoziem. W roku 1993 Golf po raz pierwszy otrzymał odmianę uniwersalną, nazwaną, zgodnie z firmową tradycją, Variant.

Samochód który uratował Volkswagena

W czasach mody na auta z napędem na koła obu osi powstała wersja Syncro ze sprzęgłem wiskotycznym, samoczynnie regulującym rozdział napędu na przód i tył.

Golf III

produkowany jest dziś jako 3- i 5-drzwiowy hatchback, kombi oraz kabriolet. Wyemancypowana i różniąca się stylizacją 4-drzwiowa limuzyna nosi nazwę Vento. Nabywca Golfa ma do

brueck, gdzie powstają kabriolety - 180. Nie dość na tym. W belgijskiej filii VW w Brukseli produkuje się 760 Golfów dziennie, w Meksyku - 330, w RPA - 170, a w Słowacji - 110.

Co ciekawe, poprzednie generacje Golfa nie zakończyły bynajmniej żywota. Golfa I z silnikami od 1.3 do 1.8 litra produkuje się nadal w Republice Południowej Afryki, gdzie jest najtańszym autem na tamtejszym rynku.



Szefowie VW fetują wyprodukowanie 17-milionowego Golfa.

wyboru dziewięć silników benzynowych, od 60-konnej podstawowej jednostki napędowej o poj. 1390 cm sześć, aż po wyrefinowaną konstrukcyjnie widlastą „szóstkę” o poj. 2861 cm sześć i mocy 190 KM. Gama silników wysokoprężnych obejmuje pięć diesli i turbodiesli o poj. 1.9 l i mocy od 64 do 110 KM. Za rok oczekiwana jest premiera Golfa IV, o którym wiadomo dość sporo, bowiem pod względem mechanicznym będzie on blisko spokrewniony z produkowanymi już samochodami koncernu VW: Audi A3 oraz Skodą Octavią. Pewne jest więc, że Golf znów urośnie, bowiem jego rozstaw osi wynosić ma 251,2 cm. Linia przedniej części nadwozia upodobał go do nowego Passata.

Na razie Golf III sprzedaje się bez problemów. Produkcja tego modelu wynosi

3640 samochodów dziennie.

Z tego na fabrykę w Wolfsburgu przypada 1650 egzemplarzy, na Mozelę - 440, a na Ośna-

Zaś Golf II i Jetta II mają swoje „życie po życiu” w Chinach. Firma Hongki (vel First Automobile Works) powołała spółkę z koncernem VW i wytwarza te samochody wykorzystując linie produkcyjne ze zlikwidowanej fabryki Volkswagena w Westmoreland w USA. Zdolność produkcyjna chińskiej wytwórni Golfa i Jetty określana jest na 150 tys. samochodów rocznie.

Wśród motoryzacyjnych fachowców trwa dyskusja, czy za światowego rekordzistę w produkcji jednego modelu można uznać Toyotę, skoro dzisiejsza Corolla, mimo przekroczenia 20 milionów egzemplarzy, nie jest w najmniejszym stopniu tożsama z pierwszymi autami noszącymi tę nazwę. Gdyby upierać się przy pokrewieństwie konstrukcyjnym, na placu boju pozostałyby dwa modele VW: nieśmiertelny „garbus”, nadal produkowany w Meksyku i w Brazylii, oraz nasz dzisiejszy bohater, czyli Golf - samochód, który uratował Volkswagena.

Marek Ponikowski
Zdjęcia: Volkswagen AG



Ważne przy zderzeniu bocznym: Golf jako pierwsze auto kompaktowe ma boczny air bag.

Ruszyć się!

Czas spadających głów



Fragment szczytu Katowni

Fot. Jerzy Samp

Budowlę, która poważnie ucierpiała podczas oblężenia Gdańska przez wojska Stefana Batorego był tzw. zespół przedbramia ulicy Długiej. Przystępując do naprawy szkód, władze miasta zmieniły jego funkcję.

Urządzono tu mianowicie więzienie oraz miejsce kazi. Określenie „męczennica” będące niegdyś synonimem słowa „katownia” doskonale oddaje grozę tego miejsca. W tym roku mija dokładnie czterysta lat od momentu, gdy Katownia gdańska otrzymała swój obecny kształt. Ile rozegrało się w jej wnętrzu tragedii, tego nie wyczytamy w żadnym nadmorskim pitawalu. Wie o tym jedynie leciwa „męczennica” - milczący świadek wszelkiego okrucieństwa. Czy istotnie milcząca? Wystarczy obejrzeć wnętrza cel, owe ciasne, ciemne i nie ogrzewane pomieszczenia i wydrapane przed wiekami na ich ścianach napisy oraz rysunki. Każde z nich miało własną „specyfikę” już w momencie oddania go do użytku. Nie było przeto bez znaczenia, czy ktoś trafił do celi o nazwie: „Baran”, „Wieprz”, „Kruk”, „Wilk”, czy też „Wół”. Biada tym, którym tafla się „Sowa”, „Kaczka” lub „Zając”. Dla morderców przeznaczano cele o nazwach „Lis”, „Kogut” oraz „Kain”. Koszmar stanowiło choćby samo wspomnienie

o ponurych lochach ze sławną „Norą Żmii”.

Nie jeden raz porównywano Gdańsk do słonecznej Wenecji. Nigdy wszakże nie mówiło się o tym, iż oba miasta prócz wielu podobieństw posiadały także własne „Mosty Westchnień”. Wenecja w obrębie Pałacu Dożów, Gdańsk właśnie na terenie Katowni.

Przed czterystu laty gdański kamieniarz przyozdobił wewnętrzny szczyt Katowni osobliwą rzeźbą. Wyobrażała ona komendanta więziennej straży. Wychylając się z okrągłego otworu okiennego postać, w której dłoni artysta umieścił żelazne kółko z nawleczonymi na nie kluczami, dniem i nocą przypominać miała gdańszczanom, że nie sposób usnąć czujność osób sprawujących pieczę nad skazańcami. Replikę zniszczonej podczas ostatnich działań wojennych rzeźby umieszczono na odrestaurowanym szczycie Katowni zaledwie 25 lat temu. Dlaczego zatem „człowiek z kluczami” pozbawiony jest głowy?

Odpowiedzi na to pytanie i tym razem szukać należy w gdańskim baśniokregu. Jed-

no z tutejszych podań mówi o kacie, któremu w ciągu wielu lat sprawowania ponurej powinności ani razu nie zadrżała ręka. Zawahał się dopiero wówczas, gdy kazano mu publicznie stracić samego dowódcę więziennej straży za to, iż dopuścił do ucieczki jednego z bandytów. Kat wiedział bowiem dobrze, iż tą, która uwolniła skazańca była jego jedyna córka - Sydonia. Nie chcąc dopuścić do ujawnienia całej sprawy, niewiasta owa otruła własnego ojca, po czym włożywszy na głowę katowski kaptur udała się przed Dwór Artusa, by własnoręcznie ściąć głowę niewinnemu. Haniebny czyn pierwszej i jedynej w dziejach miasta kobiety-kata wyszedł wkrótce na jaw i Sydonia została spalona na stosie.

Pamięć niewinnie skazanego komendanta straży władze miasta uczciły fundując mu wspomniany wizerunek z kamienia. Dziwne to i w swej symbolice przerażające, lecz nikt nie zaprzeczy, że co jakiś czas z niewiadomych przyczyn rzeźbie odpada głowa. Po raz ostatni stało się to zaledwie kilkanaście lat temu.

Jerzy Samp

Dolinami i wzgórzami



W drodze ku kaszubskim szczytom mijamy Kuźnię Wodną.

Fot. Robert Kwiatk

Ciężkie czasy nastały dla piechurów wędrujących szlakami. Drogi zawiane, znaki ledwo widoczne na zaśnieżonych pniach i dzień do tego krótki. No ale w domu przesiedzieć całą niedzielę też trudno.

Ruszymy więc w nasze „góry” w okolicach Oliwy. Będzie blisko, krótko (ok. 12 km), ale momentami tak jak w prawdziwych Tatrach.

Startujemy z pętli tramwajowej w Oliwie. Ulicą Opata Rybińskiego, idziemy w kierunku zoo. Po przekroczeniu mostku obok młyna wchodzimy na ul. Spacerową. Po prawej stronie mijamy dość pokątną górę o nazwie Pachółka - z wieżą widokową na szczycie. Podążamy dalej do rozwidlenia dróg i wraz ze znakami niebieskimi schodzącymi ze zbocza Pachółki kierujemy się w ul. Kościarską. Po kilkuset metrach szlak niebieski skręca w lewo do Kuźni Wodnej - my zaś idziemy dalej Doliną Powagi do bliskiego już lasu. Wchodzimy w Dolinę Świeżej Wody. Z lewej strony płynie w kierunku Oliwy Potok Prochowy. Niebawem dochodzimy do oznaczonego tablicami 12-hektarowego rezerwatu „Źródlika w Dolinie Świeżej Wody”. Rezerwat leży po lewej stronie doliny. Przepływa tu towarzyszący nam od pewnego czasu Potok Pro-

chowy, tu znajduje się siedlisko wielu chronionych gatunków drzew, roślin podgórskich o przedziwnych nazwach, z których mianowicie gajowa wydaje się być najbardziej bliska na manę ani gajową ani z nieba brniemy dalej. Spotykamy schodzące z prawej strony w dolinę znaki szlaku czarnego. Przez chwilę idziemy ich śladem. Nieco dalej szlak odbija w lewo na Wzniesienie Marii. My idziemy prosto aż do spotkania ze znakami żółtymi szlaku „wzgórzami Trójmiasta”. W tym miejscu kończy się teren rezerwatu i nasza rozgrzewka. Skręcamy w prawo i początkowo łagodnie wznoszącym się terenem wchodzimy w głąb niewielkiej doliny. Po chwili stajemy u podnóża sporego wzniesienia. Gdy osiągniemy szczyt uznajmy zapewne, że z kondycją nie jest jeszcze najlepiej (te święta). Na pociechę mamy zejście do białej drogi, gdzie skręcamy w lewo i już łagodnym podejściem zbliżamy się do jaśniejszej w oddali polany Owczarnia. Skręcamy w prawo

i łagodnym zejściem dochodzimy do kolejnej doliny, tym razem o nazwie Kamienisko. Po 300-400 m szlak skręca w prawo pod solidną, stromą górę. Wejście na jej szczyt traktujemy jako oznakę wzrostu formy. Na górze jest jakby cieplej i żalujemy, że jesteśmy tak grubo ubrani, ale przed nami długie zejście do kolejnej doliny. Skręcamy w prawo i przechodząc obok dziwacznie uformowanego drzewa - pomnika przyrody zbliżamy się do szosy Oliwa-Osowa. Tu szlak skręca w lewo, my w prawo i w odległości 100-150 m od szosy idziemy w kierunku Oliwy. Po wyjściu z lasu w Rynarzewie schodzimy na lewą stronę szosy (ul. Spacerowej) i tak wędrujemy aż do centrum Oliwy. Mijamy leśniczówkę Renusze-wo i kapliczkę przydrożną, aby ponownie znaleźć się u podnóża Pachółki. Ambitni mogą jeszcze raz upewnić się o rosnącej kondycji i „zaliczyć” również tę górę. Teraz, gdy staniając się na nogach dobrniemy do pętli tramwajowej w Oliwie, możemy odetchnąć z ulgą, bo to będzie koniec naszego wypadu w nadmorskie góry.

Stanisław Strojny

Wędruj razem z nami

• W sobotę na narciarski spacer (jeśli śnieżna pokrywa będzie miała co najmniej grubość 10 cm) na trasie: Reda - Gniewowo - Zbychowo - Reszki - dolina Zagórskie Strugi - Rumia zaprasza Komisja Turystyki Narciarskiej przy Oddziale Morskim PTTK w Gdyni. Zbiórka na dworcu PKP Gdynia: Główna, odjazd o 9.35.

• W sobotę, w Klubie Turysty w Gdyni, ul. 3 Maja 27, odbędzie się o godz. 9.30 rozstrzygnięcie konkursu kronik szkolnych kół turystyczno-krajoznawczych i klubów turystycznych za 1996 r. Po jego zakończeniu ok. godz. 10 nastąpi wyjście na wycieczkę, którą na trasie Kolibki - Redłowo - Orłowo poprowadzi KK „Wrzos”.

• W sobotę na pierwszy etap rajdu „Cztery pory roku”, który ma na celu poznanie rezerwatów przyrody na terenie Trójmiejskiego Parku Krajoznawczego, zaprasza Komisja Turystyki Pieszej Oddziału Morskiego PTTK w Gdyni. Sobotnia wędrownia wiedzie trasą: Sopot Wyścigi SKM - Świebirowo (rez. Zajęcze Wzgórze) - Mała Gwiazda - Łysa Góra - Sopot SKM (8 km). Zbiórka w holu dworca PKP Gdynia Główna o godz. 9.40, odjazd 9.50.

• W sobotę, w ramach imprezy turystycznej „Zwiedzaj z licealistami”, na wycieczkę autobusowo-pieszą na trasie: Kwidzyn - Trzciano - Waplewo Wlk. - Mikołajki Pom. - Gdakowo - Kwidzyn, zaprasza SKKT-PTTK „Trapersi” przy I LO w Kwidzynie. Wyjazd o godz. 9 sprzed Urzędu Miejskiego w Kwidzynie. Informacja pod nr. tel. /0-55/ 79-41-67.

• W niedzielę na wycieczkę pt. „Pomniki przyrody miasta Gdyni” zaprasza Kom-

sja Ochrony Przyrody przy Oddziale Morskim PTTK. Zbiórka o godz. 10 przy pomniku Harcerza, ul. Świętojańska w Gdyni.

• W niedzielę na wycieczkę krajoznawczą na trasie: Sopot Kamienny Potok - rezerwat Zajęcze Wzgórze - Pacholek - Gdańsk Oliwa (10 km) zaprasza KK „Wrzos”. Podczas wycieczki uczestnicy zwiedzą Kuźnię Wodną i obejrzą dwie wystawy - „Górale tatrzańscy na starych

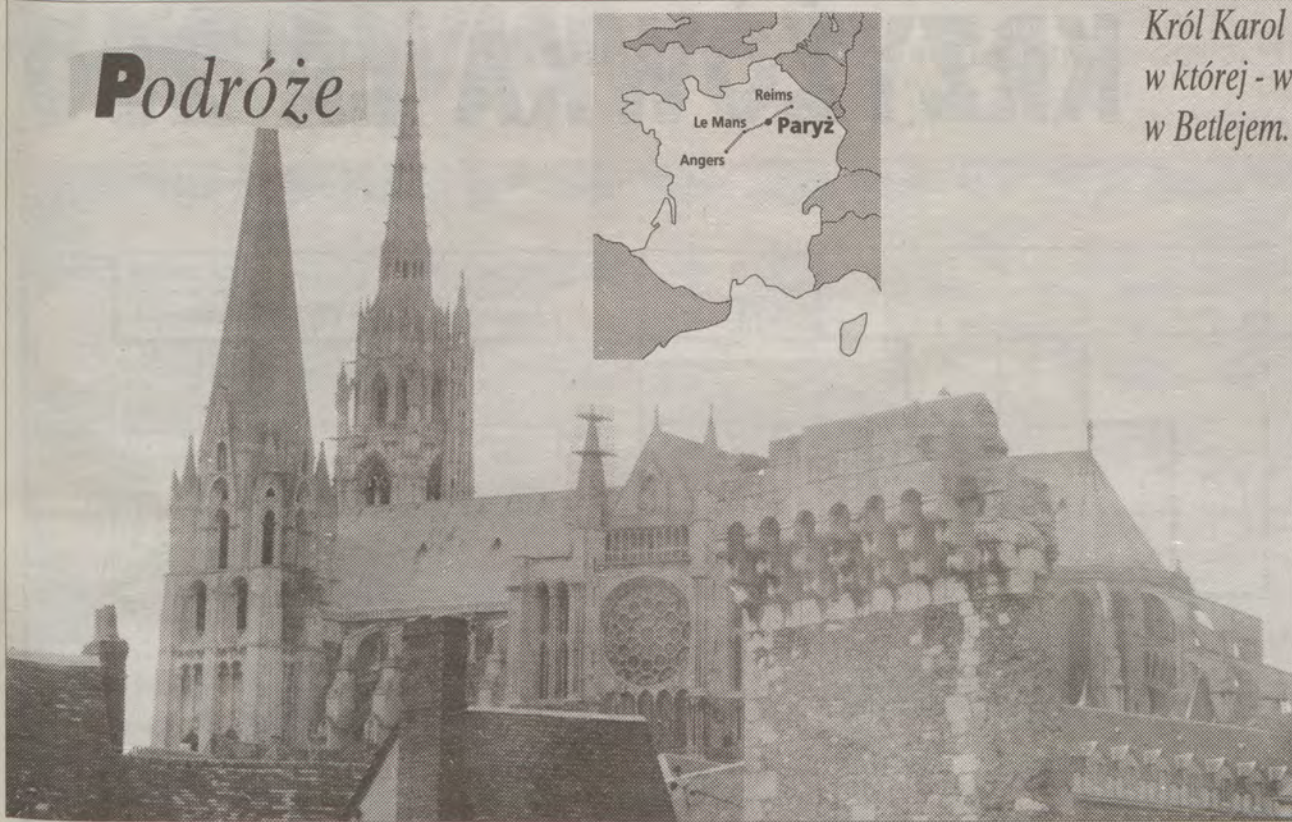
pocztówkach” oraz „Malarstwo na szkle” Anny Liscar w Spichrzu Opackim w siedzibie Muzeum Narodowego. Zbiórka o godz. 9 w Klubie Turysty w Gdyni, ul. 3 Maja 27.

• W niedzielę na wycieczkę zaprasza KTP „Wanoga”. Szczegółowe informacje można uzyskać w Oddziale Morskim PTTK w Gdyni pod nr. tel. 21-77-51.

• W niedzielę na spacer po Bażantarni zaprasza Klub Turystów Pieszych „Delta” z Elbląga. Zbiórka uczestników o godz. 10 przy pętli tramwajowej linii nr 2 na ul. Marymonckiej w Elblągu.

(mir)

Podróże



Dwie strzeliste wieże nad dachami Chartres.

Chartres

Symfonia z kamienia

Pędząc autostradą z myślą o celu podróży, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, co tracimy mijając miasta, miasteczka, pomniki przyrody i ludzkiego geniuszu. Niekiedy wystarczy kilkanaście minut, by się przenieść ze zgiełku i nieustannej pogoni za uciekającym czasem do mrocznej, spokojnej atmosfery średniowiecznej świątyni.

Od ośmiu wieków objawia się ona wędrowcom jak olbrzymi okręt nad falującym zbożem równiny Beauce, górujący nad niewielkim miasteczkiem, które sławę światową zawdzięcza właśnie jej. Katedrze w Chartres. Dwie niesymetryczne

strzeliste wieże

rozniące się wysokością były drogowskazem dla pielgrzymów przybywających z różnych stron świata. A byli wśród nich królowie, książęta, święci spieszący z hołdem dla Matki Boga do miejsca, w którym święty Bernard nawoływał do krucjaty, a Henryk IV Nawarski koronował się na króla Francji.

Archeolodzy znaleźli dowody istnienia rzymskiego miasta Autricum zbudowanego nad rzeką zwaną wtedy Auturą. Nie wiadomo kto i kiedy przyniósł tu chrześcijaństwo poza tym, że już na początku VI wieku biskupi z Chartres brali udział w synodach w niedalekim Orléanie. Pierwsza wzmianka o katedrze pochodzi jednak dopiero z roku 743, kiedy to książę Akwitanii Hunald walcząc z synami Karola Młota zdobył miasto i zniszczył świątynię. Odbudowana, została zburzona przeszło sto lat później - tym razem przez wikingów. Trzecia katedra, odbudowana w niezwykłym tempie, została konsekrowana w roku 876. Uroczystość uświetnił wnuk Karola Wielkiego - król Karol Łysy przekazując miastu wspaniałą relikwię: szatę, w której - według tradycji - Maria urodziła Chrystusa w Betlejem.

Sancta Camisia jest do dzisiaj przechowywana w katedralnym skarbcu i można ją obejrzeć. W średniowieczu ten spory kawałek tkaniny uczynił Chartres miejscem sławnym w całym chrześcijańskim świecie i jednym z najważniejszych celów pielgrzymek. Nie trzeba dodawać, że

miasto coraz lepiej prosperowało, a jego mieszkańcy czuli się bezpieczni pod opiekę Najświętszej Patronki. Ufność ta została nagrodzona w roku 911, kiedy to Chartres było oblegane przez pogańskiego wodza wikingów Rollona. Miejscowy biskup rozkazał umieścić relikwię na walach, co skłoniło napastnika nie tylko do zmiany zamiarów, lecz także do przyjęcia chrztu. Wyszedł na tym zresztą wcale nieźle, został bowiem przez Karola III uznany pierwszym księciem Normandii.

Historia

miasta i katedry obfituje zresztą w równie dramatyczne wydarzenia. Burzono, palono, mordowano, co zresztą nie przeszkodziło Chartres i przykatedralnej akademii stać się jednym z najważniejszych centrów scholastycznych średniowiecznej Europy. Po kolejnych pożarach w roku 1194 przystąpiono do budowy wielkiej świątyni gotyckiej. Wznoszono ją niezwykle krótko, bo nieco ponad 60 lat na romańskie krypcie z IX wieku.

Powstała jedna z najwspanialszych, najpiękniejszych katedr. Tysiące współczesnych pielgrzymów wstępuje w jej progi już nie tylko, by oddać hołd relikwi, lecz by zapoznać się ze zgromadzonymi tu arcydziełami. Katedra w Chartres, to bowiem zarazem jedyne w swoim rodzaju

sanktuarium sztuk.

Dwie z nich dominują: rzeźba i witraże.

Swoistą galerią wczesnogotyckiej rzeźby są portale - potrójny, główny Portal Królewski i równie piękne dwa portale w transepcie: Północny i Południowy. Trzeba trochę czasu poświęcić bliższemu zapoznaniu się z dziesiątkami postaci. Są tu apostołowie, święci, postaci ze Starego Testamentu. Stoją nieco sztywno, wyprostowani, dostojni, w zgodzie z ka-

nonami gotyku. Uważny obserwator dostrzeże jednak więcej życia na przykład w postaciach symbolizujących miesiące: Luty grzeje nogi przy ogniu, Marzec przycina winorośl, Kwiecień spogląda zza ukwieconej gałęzi, Maj trzyma jastrzębia gotowego do polowania, Czerwiec dzierży kosę, Lipiec z sierpem zbiera plony... Patronują im znaki zodiaku. W innym miejscu widzimy męczeńską śmierć Tomasza Becketa i... pychę spadającą z konia. Anonimowe dzieło z początku XIII wieku.

W mrocznym wnętrzu świątyni, w obejściu chóru zachwyca galeria późniejszych, XVI-wiecznych rzeźb. Uśmiech wywołuje sympatyczna postać Marii szyjącej z pogodną twarzą pocziwej mieszczy - urzekające dzieło Jeana Soulasa z 1520 roku.

Najważniejsze są tu jednak witraże. Przetrwały niemal nienaruszone od XII do XIII wieku i dziś mają opinię najpiękniejszych w świecie. Przedstawiono na nich sceny z Biblii, ale także z życia Karola Wielkiego i podobizny dobroczyńców katedry.

Wychodzimy z mroku wprost w osłepiający blask jasnego kamienia, z którego wzniesiono budowlę. Ten gotyk jeszcze się nie przeistoczył w ażurowe koronki. Jest twardszy, masywniejszy, bardziej chyba naturalny. Potężne ściany, łuki przyporowe, kaskady z białego kamienia. Wielka kamienna symfonia. Po oglądaniu niedawno, niedalekim Wersalu z jego złożoną zniewieściałością, jest czymś odmiennym, autentycznym, skłania do refleksji nad życiem, przemijaniem, nad wielkością ludzkiego geniuszu i ludzkiej głupoty, która w 1793 roku ludziom ogarniętym rewolucyjnym amokiem kazała spalić przed katedrą drewniany posąg Matki Bożej, rozbić kilka innych rzeźb i proklamować katedrę „Świątynią Rozumu”. Na szczęście rozum statecznych mieszczan Chartres katedrę ocalił. Dzięki nim warto było zjechać z autostrady...

Tekst i zdjęcia:

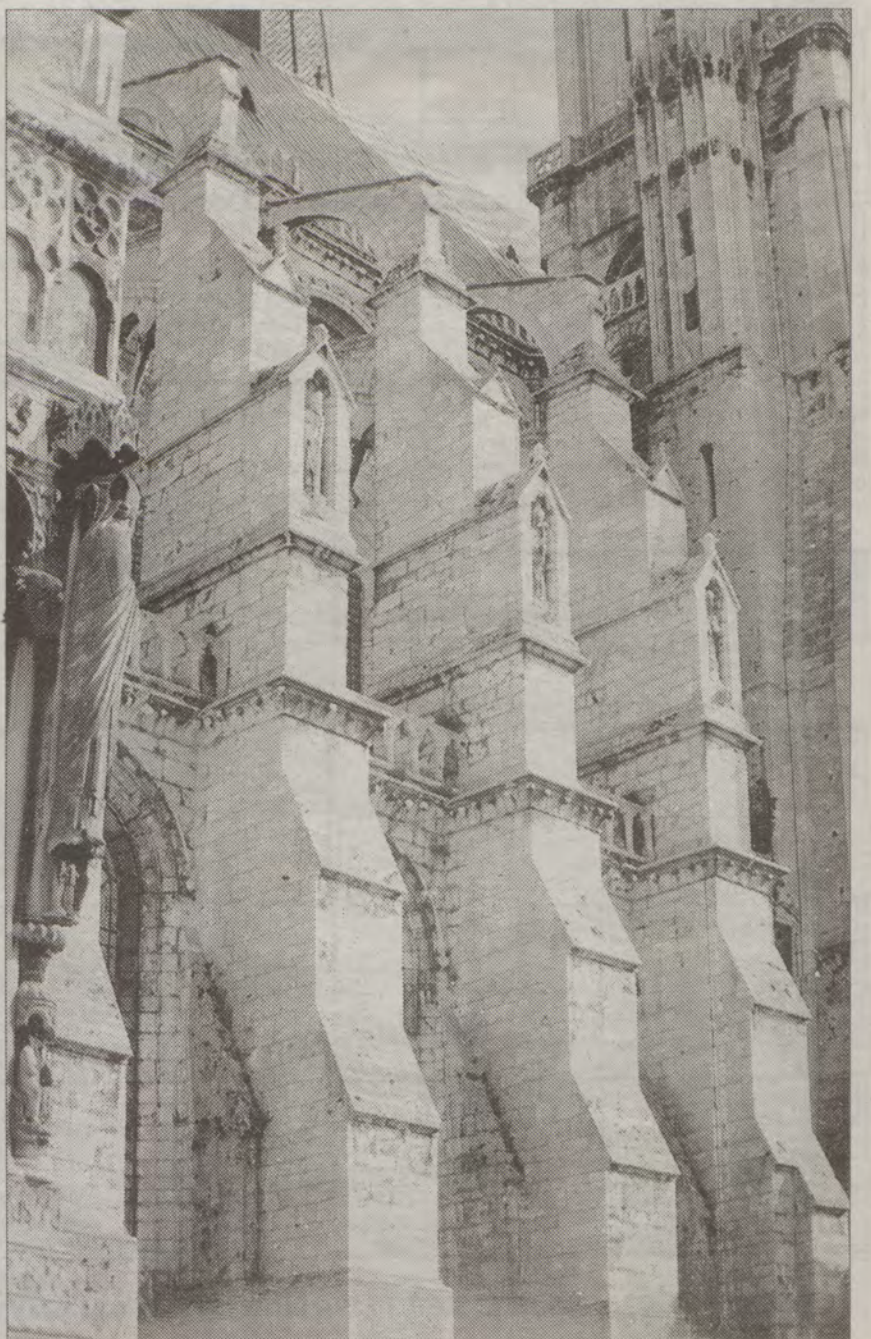
Andrzej Gołębiowski

Król Karol Łysy przekazał miastu wspaniałą relikwię: szatę, w której - według tradycji - Maria urodziła Chrystusa w Betlejem.

Informacje praktyczne

Jak dojechać: Do Paryża najtaniej autobusem. Cena biletu z Gdańska w obie strony waha się od 199 do 365,25 zł. Z Paryża do Chartres (96 km) samochodem autostradą A11 lub pociągiem z dworca Montparnasse.

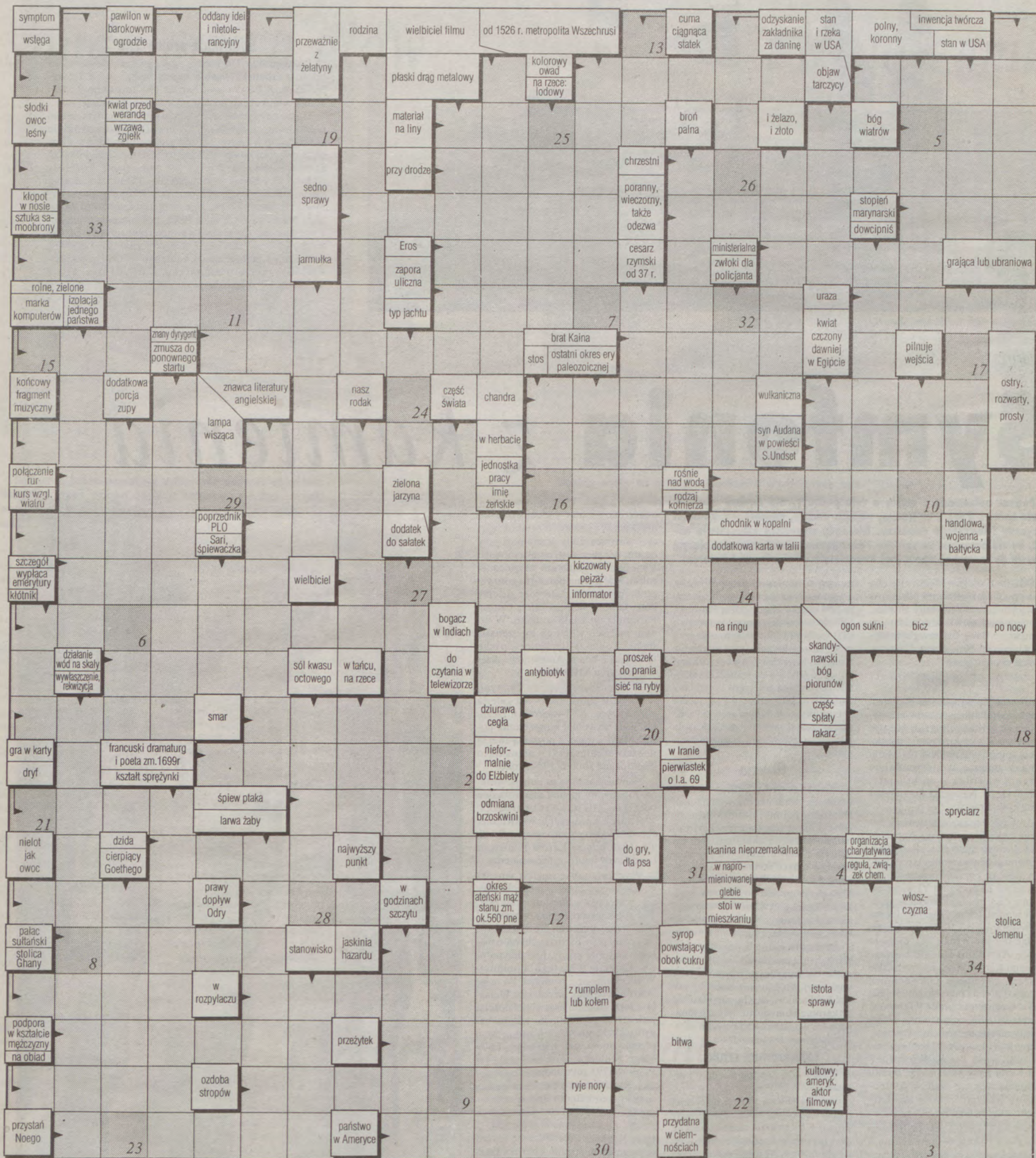
Gdzie zatrzymać się: Chartres jest świetnym celem jednodniowej wycieczki z Paryża lub przystankiem w drodze nad Loarę. Można jednak pomyśleć o dłuższym pobycie, bo oprócz katedry jest tu jeszcze kilka innych ciekawych miejsc, w tym stare kościoły i *Musée des Beaux Arts* z dziełami Vlaminka, Zurbarana i kolekcją pięknych tapiserii. W biurze turystycznym koło katedry pomogą w znalezieniu pokoju. W pobliżu miasta są także tanie nowoczesne hotele: samoobsługowy sieci Formule 1 (pokój trzyosobowy za 139 franków) - tel. 0033-2 37307076, fax 0033-2 37907475, oraz Etap Hotel tej samej kompanii (pokój trzyosobowy 160 franków) - tel. 0033-2 37302705, fax 0033-2 37910908. 1 frank = 0,54 zł.



Kamienne kaskady.

Pomyśl!

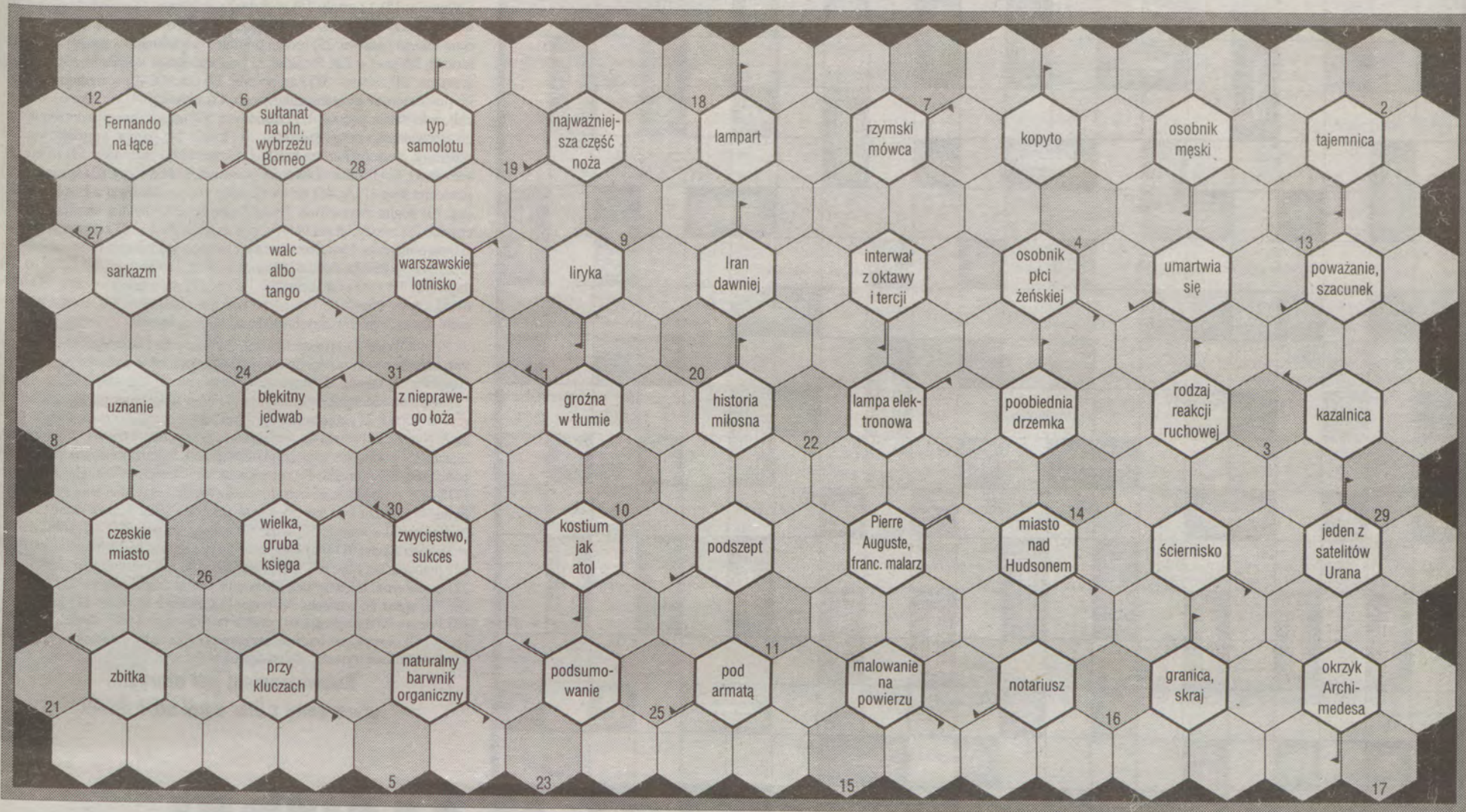
KRZYŻÓWKA ZA 250



Czytelnicy, którzy uporają się z tą wielką krzyżówką i przysła do 29 stycznia 1997 r. hasło, utworzone z liter na zaznaczonych polach, mają szansę wylosować nagrodę pieniężną w wysokości 250 zł

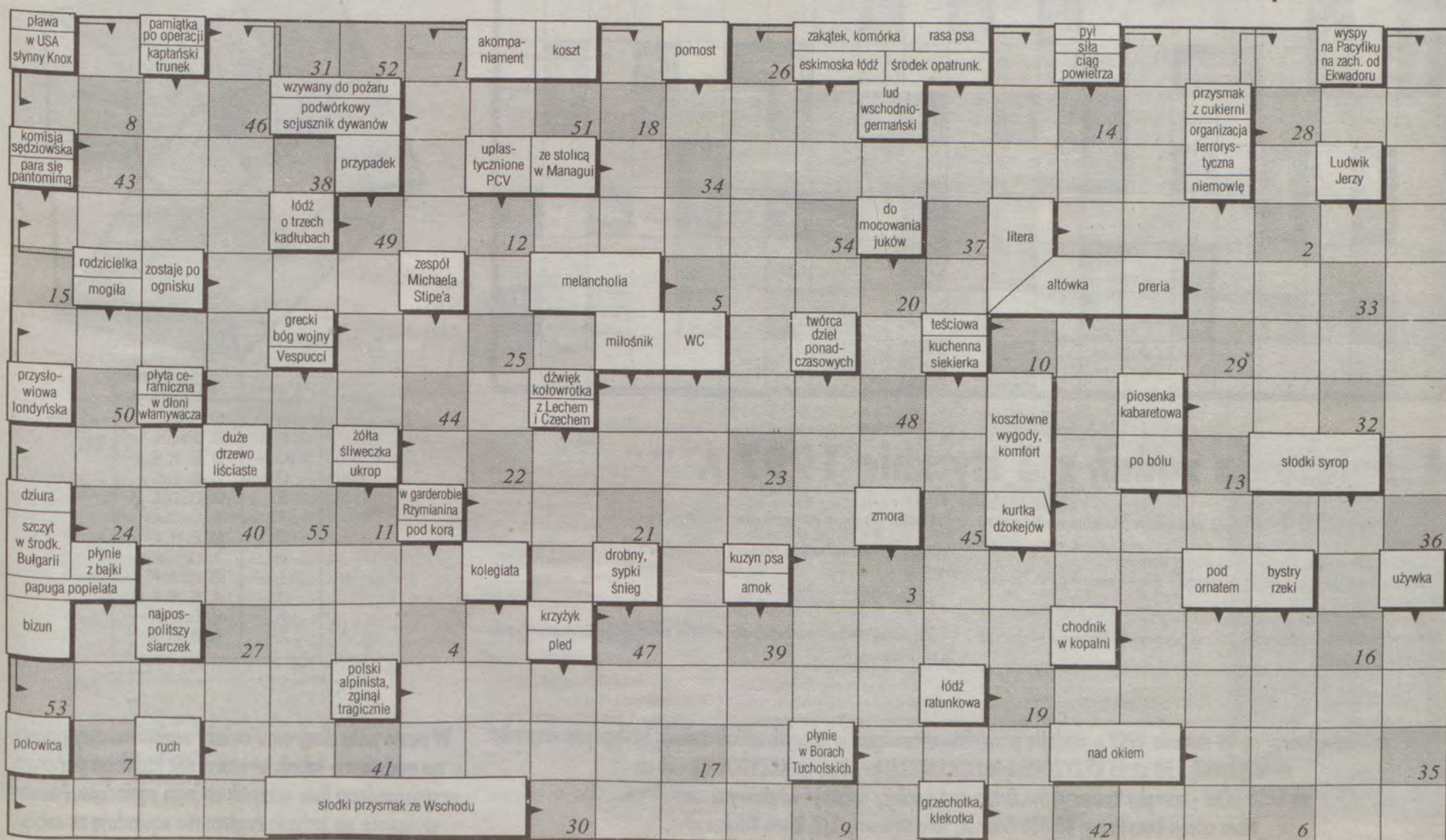
WIRÓWKA

Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól od 1 do 31



KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA

Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól od 1 do 55



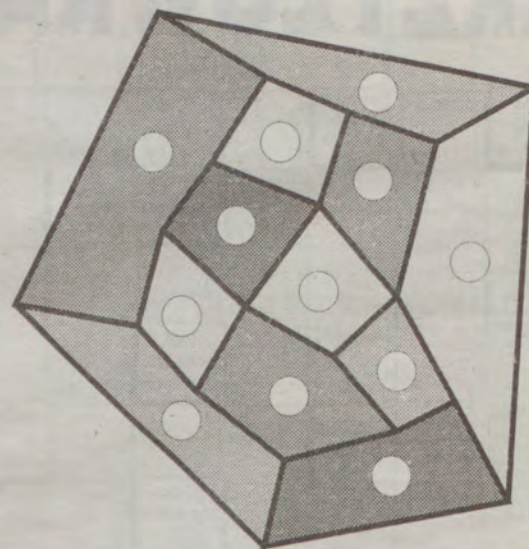
KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1) wskazuje zmiany wilgotności powietrza; 7) cholewkarz; 12) na wyższe stanowisko; 13) poprzednik, zwiastun; 14) gobelin z Wawelu; 15) 12 sztuk; 16) rozgrywka sportowa; 18) blask księżycy; 20) wyszywanka; 22) włączenie siłą przez państwo całości lub części terytorium innego państwa; 25) ręczna prądnicą prądu zmiennego; 29) duży ptak morski; 30) port w Zat. Perskiej; 32) niebezpieczne w kopalni; 33) zastępca atamana; 34) zabawa; 38) ślad po pile; 39) omasta; 40) w średniowieczu: dziecko przeznaczone do stanu zakonnego; 43) sasanka; 44) gotycka ozdoba architek. w kształcie pączka; 47) czasomierz; 50) urządzenie do kontrolowanego wyzwalań energii jądrowej; 51) kram; 54) papier wartościowy; 55) skórzany, pleciony bicz na krótkiej rękojeści; 56) najeźdźca; 59) znany aktor włoski; 60) promieniotwórczy pierwiastek chemiczny; 62) śpiączka; 65) północny stan USA; 66) córka Heliosa; 68) romansował z Ewelina Hańską; 70) bogini zwycięstwa; 71) fałd, obrąbek; 75) plemię afrykańskie; 77) emalia; 78) założyciel zakładów optycznych w Jenie; 80) koncepcja ideologiczno-polityczna Lwa Bronsteina; 81) stolica jednego z państw nadbałtyckich; 84) wędrówka duszy; 87) matka Heleny Trojańskiej; 89) cierpi na nią diabeł; 91) rzeka na zachodzie Polski; 93) na żołnierską zupę; 94) latynoski kuzyn strusia; 95) między prośbą a rozkazem; 96) miasto w pln. zach. Niemczech; 97) przystosowanie; 98) imię męskie.

PIONOWO: 2) zabawy ludowe; 3) azjatycka taksówka; 4) dawne piśmo urzędowe; 5) wąska dolina, jar; 6) wyspiarskie państwo na wsch. od Australii; 7) forma; 8) straszidło, poczwara; 9) legowisko; 10) piniacz; 11) szuflada zecerska; 16) omamy; 17) bławatek, modrak; 19) gwizdzący gryzoń górski; 21) zdjęcie; 23) związek chemiczny; 24) mieszkaniec pld. zach. Nigerii; 26) reszta do zapłacenia; 27) szlachetny trunek; 28) karczma, zajazd; 31) pudło skrzypiec, płyta fortepianu; 35) przemoc; 36) uwalnia od podejrzeń; 37) nomada; 41) pseudonim Sienkiewicza; 42) angielski malarz, 1775-1851 r.; 45) żabi śmiech; 46) córka brata; 48) drugie imię Aleksandra Bella; 49) wydzielona porcja pożywienia; 51) kilka wiązek słomy; 52) od podporucznika wzwyż; 53) kurs; 57) załoga, zespół; 58) rozłożysty grzbiet w Tatrach Zach.; 61) ślad koła, bruzda; 63) miasto nad Morzem Czarnym; 64) przodek liczydła; 67) złudzenie; 69) sole lub estry kwasu azotowego; 72) satelitarne, telewizyjne; 73) święta wojna muzułmanów; 74) na ławecie; 76) zjazd na nartach; 79) pogańskie bóstwo Słowian; 82) kalkulacja; 83) Ponury Klapouchy; 84) ptak z rodziny siewek; 85) słynie z porcelany; 86) Oktawian, pierwszy cesarz rzymski; 87) ozdoba choinkowa; 88) wykładowca uniwersytecki; 90) na czarną godzinę; 92) po wyburzeniu

**Rozwiązaniem jest aforyzm,
utworzony z liter z pól od 1 do 49**

SĄSIEDZI



Państwo	Sąsiedzi
A	F, H, J, L
B	E, J, L, K
C	D, E, F, G
D	C, E, F, L
E	B, C, D, L, K
F	A, C, D, G
G	C, F, H, I
H	A, G, I, J
I	G, H, J, K
J	A, B, H, I, K
K	B, E, I, J
L	A, B, D, E

Rozwiązania zadań z 3 stycznia 1997 r.

Krzyżówka za 250 zł - nagrodę otrzymuje Małgorzata Kosiacka z Elbląga.

Hasło: „Im więcej wiemy, tym mniej umiemy”.

Krzyżówka zwykła - 50 zł otrzymuje Eugeniusz Wojciechowski z Gdańska.

Hasło: „Gniew nie oślepią on rodzi się ze ślepoty”.

Krzyżówka Panoramiczna - 50 zł otrzymuje Ryszard Frąszczak z Gdyni.

Hasło: „Dobrze gdy gest idzie w parze z gustem”.

Krzyżówka wirówka - 50 zł otrzymuje Bolesław Duch z Kwidzyna.

Hasło: „Cisza jest głosu wzbieraniem”.

Za łamigłówkę - suszarkę do włosów otrzymuje Elżbieta Popieła z Kościerzyny.

Na Czytelników, którzy do 29 stycznia 1997 r. nadesłali prawidłowe rozwiązania naszych zadań czekają następujące nagrody:
za WIRÓWKĘ - 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ - 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ - 50 zł;
za SĄSIADÓW - komplet kosmetyków. Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami.
Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.

W puste pola diagramu należy wpisać nazwy państw na podstawie tabeli, w której dla każdego państwa przedstawiono listę wszystkich jego sąsiadów. Państwa stykające się jedynie rogiem nie sąsiadują ze sobą.

Jest ochotka

Z wędką

A były kłopoty ze zdobyciem tej, oczywiście, podlodowej przynęty. Zresztą nie tylko podlodowej.

Jeśli ktoś uważa - tak jak podają niektóre mądre źródła, że w stanie zimowego odrętwienia ryba nie żre to się myli. Woda, w której ryba naturalnie zamieszkuje robi za powietrze. W powietrzu, tym prawdziwym, którym oddycha wszystko żywe, fruwać rozmaite, drobne posilki, od wirusów, bakterii, po skrzydlate owady doskonałe i wreszcie latające ptaszki. Takiej na przykład jaśkółce wystarczy trochę polatać z rozdziawionym dziobem, a swój żołądek napętni i pisklęta nakarmi. Nieco gorzej sprawa ma się z ociężałymi, wyższymi naziemnymi. Z człowiekiem ho, ho... Jeszcze gorzej. Biega zbyt wolno, dziób otwiera rzadko, co innego motocyklista. Zaskarżony kolarz wyścigowy za bardzo się pochyla, posilki opływają bokami, ale już na rowerze górskim, sapiąc, dodatkowo wytwarza ogromny strumień zasysający i można by sądzić, że to zaspokoi zapotrzebowanie ka-



Rys. Wiesław Matuszek

loryczne tym bardziej, że „góra” wybiera obfitej wody, duktów leśnej, a jednak, mimo wszystko to za mało. Musi doładować schaboszczakiem.

W wodzie nie trzeba dużej szybkości, aby się podładować. Wystarczy spokojnie, w półśnie odcedzić trochę planktonu z „wdychanej” wody i można spać dalej. Można też pogrzebać w mule, a tam istna spiżarnia. Cały bentos. Larwy chrzączek, jętek, widelnic, wreszcie ochotków. Całe to towarzystwo, spasioone planktonem, pełne wigoru okopano się transzejami, podziurawiło całe dno siecią labiryntów i przeczekuje do wiosny, kiedy to musi wykonać rozkaz natury i ruszyć „ścieżką śmierci” od dna do powierzchni i wlecieć skrzydlatym „motylkiem”. Ta króciutka podróż bywa najczęściej ostatnią w życiu. Kończy się w paszczy drapieżnika.

Zimą, ochotka to taki rybi schaboszczak. Kiedy wyjdzie z dziury by rozprostować „kości” i pooddychać świeżą wodą, wygląda tak apetycznie, że najgłupsza ryba jej nie przepuści. I jak tu nie wykorzystać takiej okazji?

Kiedy najdzie nas ochota, wiedzy ochotka nadziana na mormyszkę, wpuszczona do dziury w lodzie, będzie często jedyną szansą na sukces. Nawet w najbliższym czasie może trafić się jakiś, choćby jazgarz.

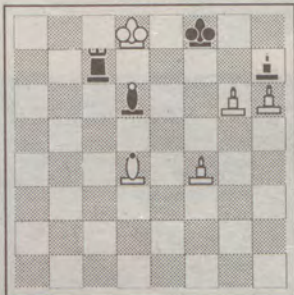
Powodzenia.

Mat.

Szachy

pod redakcją Piotra Sobolewskiego

G. Grzeban A. Trzęsowski
1964



Remis. Kontrola diagramu: B: Kd8, Gd4, p. f4, g6, h6; C: Kf8, Wc7, Gd6, p. h7. Wieża nie napawa raczej optymizmem, ale od czego pomyśleć! Sposób ratunku jaki w tej pozycji wybrały białe jest tyleż dowcipny co niespodziewany. Niedobrze jest wchodzić w Nowy Rok z długami, ale skoro się już weszło to trzeba je jak najszybciej zlikwidować - zaległe nagrody otrzymują zatem: W. Pepliński ul. Witosa 1c/ 6 83-140 Gnień;

W brydżu jak w życiu

♠ 876					
♥ D107					
♦ D872					
♣ KW2					
♠ AW9532	N				
♥ W96		W	E		
♦ -					
♣ 10763			S		
♠ K104					
♥ 8432					
♦ W64					
♣ A95					

Olimpiada brydżowa w 1996 roku odbyła się na wyspie Rodos w Grecji. Na starcie stanęły reprezentacje 75 krajów. Reprezentacja Polski grała w składzie: Cezary Balicki - Adam Żmudziński, Grzegorz Gardynik

Nie tylko dla filatelistów

W dniu 14 bm. Poczta Polska wprowadziła do obiegu dwa pierwsze w tym roku znaczki pocztowe. Są to znaczki emisji „Kocham cię”, wydawane już po raz szósty, ale tym razem kompozycja znaczków zachowując hasło i motyw emisji, odbiega od dotychczasowego szablonu. Autor, Jacek Konarzewski zaplanował oba znaczki jako połówki karty do gry. Jest to król kier i dama - królowa kier, a wydrukowano je w parkach łączonych pionowo. Tak właśnie wyglądają na kopercie FDC, którą sprzedawano w dniu wejścia znaczków do obiegu w UP Warszawa 1. Odmienne również jest w tym roku ich użytkowanie. Są one

przeznaczone wyłącznie do obiegu krajowego, oznaczone literami: A - na list i B - na kartkę. Znaczki literowe mamy już po raz trzeci. Pierwsze wydano w 1990 r. (ślimaki i małże), a więc już są nieważne. Następna seria ukazała się w 1995 r. (owoce jarzaba i dębu). Obecnie wydane znaczki są sprzedawane również w zeszytach po 8 znaczków.

Znaczki w zeszytach mieliśmy w 1975 r. Była to seria „Telewizyjne filmy dziecięce” z Jackiem i Agatką. Ostatnio w listopadzie sprzedawano w zeszytach znaczki Zodiaku (po 10 sztuk). W lutym ani plan emisji znaczków, ani kartek pocztowych nie przewiduje żadnych nowości. Dopiero w marcu mają się ukazać 4 znaczki związane ze świętami Wielkiej Nocy, oraz kartki i 2 koperty ze znaczkami przedstawiającymi królów polskich z matejkowskiego cyklu. Ogółem w b. roku

Miramar Story

Jak już pisałem w sopockim Miramarze trwają Mistrzostwa Wybrzeża Seniorów w Szachach. Po sześciu rundach samodzielnym liderem z dorobkiem 6,0 pkt jest A. Cichocki z Jantara Pruszcz Gdański, który o cały punkt wyprzedza parę W. Mażulę z Gedanii Gdańsk i W. Walkusza z gniewińskiego Stolema. Miejsca od 4 do 9 z 4,5 pkt dorobkiem zajmują: K. Kiełczewski Jantar Pruszcz Gdański, T. Okruciński Stolem, Gniewino; J. Kiedrowicz i T. Kempniński obaj Gedanii, K. Jurkiewicz niestowarzyszony oraz J. Zieman Gryf Tczew i chyba tylko oni mogą skutecznie walczyć o czołowe miejsca w turnieju. Niespodzianką minus jest słabsza dyspozycja wielokrotnego mistrza Wybrzeża - m Z. Piocha z Gedanii zaś miłą niespodzianką jest znokomita postawa 13 letniego K. Reka, który dzieli miejsce z takimi zawodnikami jak S. Szczepaniec i Z. Pioch! Wypada tylko życzyć Krzyżowski ukończenia turnieju w tak doborowym towarzystwie! W sobotę na sali turniejowej gościła ekipa Telewizji Gdańskiej, która przygotowała dość obszerny reportaż z turnieju. Ostatnia runda mistrzostw przewidziana jest na

19.01.97 zaś uroczyste zakończenie połączone z wręczeniem nagród odbędzie się 25.01.97 w Miramarze. Organizatorzy Mistrzostw przewidzieli także dodatkowe atrakcje: po zakończeniu odbędzie się otwarty turniej błyskawiczny i - co już awizowałem - Konkurs Rozwiązywania Zadań będący oficjalnymi Mistrzostwami Wybrzeża w etj dyscyplinie. Do zobaczenia w Miramarze!

Nadole Welcome To!

W słynnej „Szachowej Stecy Polski” trwają przygotowania do rozpoczynającej się tutaj 26.01.97 batalii Mistrzostw Polski Juniorów w kategoriach wiekowych do 10,12,14 i 16 lat. Tak duża impreza rozgrywana jest po raz pierwszy gdyż do tej pory dzielono Mistrzostwa na dwa bloki co nie było dobrze odbierane w klubach, które często mając jednego szkoleniowca stawały przed dylematem jakich zawodników „nagrodzić” trenerem a których pozbawić fachowej opieki. W Nadolu stanie na starcie około 350 najlepszych polskich juniorek i juniorów wsparte wcale pokątną rzeszą trenerów i opiekunów, znając jednak fachowość i zaangażowanie gospodarzy należy przypuszczać, że i tym razem organizacja będzie na przysłowiową 6!

Polacy na olimpiadzie brydżowej

- Tomasz Przybora, Krzysztof Martens - Marek Szymanowski.

Uczestniczące drużyny podzielono na dwie grupy, w których rozgrywano mecze systemem „każda z każdą”. Do gier finałowych z każdej grupy awansowały po cztery drużyny. Polacy w swojej grupie zajęli 3. miejsce i awansowali do rozgrywek finałowych. W ćwierćfinale spotkali się w 64 rozdaniowym meczu z Tajwanem. Wynik meczu był 132 do 122 imp dla Tajwanu. Polacy odpadli z dalszych rozgrywek. Przegrana 10 punktami w 64 rozdaniowym meczu jest minimalna. W takim przypadku może decydować trafnie, a przede wszystkim szczęśliwie rozegrane jedno rozdanie. Na diagramie przedstawione jest 10 rozdanie tego meczu, w którym Polacy stracili 12 punktów.

Saldo - 720 i 12 punktów dla Tajwanu. Gdyby Szymanowski z Martensem zagraли 4 pik w rozdaniu byłby remis i to drużyna

polska, a nie tajwańska, grałaby w półfinale.

(Z.P.)

Licytacja w pokoju otwartym

Balicki	Huang	Żmudziński	Kuo
N	E	S	W
-	1 karo	pas	1 pik
pas	3 karo	pas	3 pik
pas	3 BA	pas	4 pik
wszyscy pas			
wist 10 kier, 10 lew, WE + 620			

Licytacja w pokoju zamkniętym

N	Martens	Szymanowski	W
	E	S	
-	1 karo	pas	1 pik
pas	3 karo	wszyscy pas	
Wist 4 kier, 8 lew, NS+100			

przewidziano kilkanaście kartek pocztowych z okazji różnych rocznic, m.in. na 600-lecie nadania praw miejskich Leżajskowi, na 700-lecie Pasłęka, 100 rocznicę śmierci Adama Asnyka, 250 rocznicę utworzenia Biblioteki Żalskich. Rocznicę te uzupełniają zazwyczaj okolicznościowe datowniki. W dniu 18 bm. w UP Reda będzie stosowany datownik przypominający o 30-leciu nadania Redzie praw miejskich.

Filateliści gdańscy mają przed sobą ogromną pracę: przygotowanie międzynarodowej wystawy filatelistycznej „Gdańsk 1000”, na której będą eksponowane również zbiory z krajów basenu Morza Bałtyckiego. Wystawa przewidziana jest w dniach 15-23 sierpnia. W IV kwartale br. planowana jest wspólna wystawa okręgów: Gdańsk, Olsztyn, Koszalin, Białystok. A na terenach południowej Polski przygotowuje

się wspólną wystawę z filatelistami Słowacji. Ta polsko-słowacka wystawa planowana jest w Nowym Sączu w maju. Z tej okazji ukaże się kartka pocztowa i dwa datowniki okolicznościowe.

(t)



MORSY



Ani kilkunastostopniowy mróz, ani śnieg, ani woda skuta lodem nie straszą gdańskim „morsom”. Ubrani w stroje kąpielowe budzą niekłamany podziw okrytych kożuchami spacerowiczów. To ich sposób na zdrowe życie. Wszelkie przeziębienia, grypy są im nieznane. Wcześniej, różnie bywało. Wiek przy tym nie ma znaczenia, w wodzie o temperaturze poniżej zera zanurzają się osoby od lat 6 do 80.

W każdą niedzielę, punktualnie o godz. 11, na jelitkowskiej plaży kąpie się około 40 osób, niektórzy jak Zygmunt Jutka robią to codziennie. Najpierw, pod kierunkiem prezesa Klubu Morsów Leszka Szymoniuka, następuje obowiązkowa sucha rozgrzewka, potem wszyscy zanurzają się w wodzie - średnio na około trzy minuty. Dłuższe pluskanie przy dużym mrozie może być jednak szkodliwe dla mniej zahartowanych.

Ostatnio kilka „morsów” przeżyło nawet filmową przygodę. Zostali zaangażowani do kręconej właśnie nowej polskiej komedii. Co robili? Oczywiście, pływali w lodowatej Wiśle!

(MK)

Zdjęcia: Maciej Kosycarz